

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1192. Ducha nie gaście [hasło konkursowe] Jarzmo życia. Komedia w 4 aktach [przesłana na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська бібліотека
АН УРСР

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Бав. 1192

43.

67319/1a

1192

Jermozycia.

Komedia w 4-ach aktach.

„Ducha nie gasście...”

Św. Paweł do Thessaloniczyków



1. 192.

Osoby.

Tuljan Horszki

Józef Łęcki

Helena, jego żona

Ludwik Zabieński

Wanda, jego córka

Maliniewiczowa

Zofia, jej córka

Hrabia Edward

Majkowski

Łodkowski

Irena Janicz

Parkosz

Jan, Sturicy

Goście - Sturba.

Akt I^{sty} i IV^{ty} rozgrywa się na
wsi u Horskiego, II^{gi} w mieszkaniu
Treny, III^{ci} u hrabiego Edwarda.

Rzecz dzieje się latem.

Akt pierwszy.

5

Scena przedstawia ogród przed dwo-
rem Horskiego. Po środku stół, ra-
stawiony butelkami i kieliszkami.
Przy stole siedzą: Horski, Łącki, He-
lena, Zabielski, Wanda, Malinie-
wiczowa, Zofja, hr. Edward, Majkow-
ski, Jodłowski i jeszcze kilka osób.
Przy podniesieniu kurtyny słychać
głosną rozmowę.

Scena I^{sta}.

Majkowski (wstając)

A teraz, panowie, proszę o głos-
dajcież mi nareszcie przyjść do
stowa. (Rozmowa cichnie.)

Wszyscy.

Mów pan - słuchamy.

Majkowski.

A więc słuchajcie państwo! Przemawiać retorycznie nie umiem, ale tylko prosto, co w sercu, to i na języku. Zwracam się tedy do nowego sąsiada: jesteś teraz nasz... należysz wyjątkowo do naszego kółka. Los cię sprowadził pomiędzy ludzi, oddanych ciężkiej pracy nad podniesieniem gospodarstwa... Jestem przekonany, że gdy poznasz nas bliżej, to pokochasz nas tak, jak myśmy cię pokochali - całym sercem. Dopiero co cię poznatem, mój drogi sąsiadzie, a kocham już, jak brata. O, bo masz w sobie coś, co chwyta wszyskkich za serce. Kochajcie i ty

nas choć trochę i srecześi ci Bore w
pracy! Piż zdrowie nowego naszego
sasiada i obywatela, Juljana Horskie-
go. Niech żyje!

Wzryscy.

Niech żyje! niech żyje! (pija.)

Horski (wstając)

Drżkuję ci serdecznie, kochany panie
Karolu, a i wam także moi drodzy są-
siedzi. Cieszę się niewymownie, że po
długiej i burliwej wędrówce życiowej,
zawinątem naradzie do spokojnego
portu, jakim jest życie na wsi. Mam
nadzieję, że nie ramąc czystej powieki-
chui wód i tu, zdala od rzytka i wiatu
światowego, spędzę resztę życia mojego

wśród serc przyjaźnie mi usposobionych,
pośród rycerskich i kochających przy-
jaciół. Za wasze zdrowie, panowie!

Vivat! (Pija.)

Wszyscy.

Vivat! (Zaczynają powoli wsta-
wać od stołu.)

Majkowski.

A teraz, panowie, chodźmy do
altany na czarną kawę i lody.

/: Całe grono zbliża się do Horskiego
i dziękuje mu za przyjęcie, potem
rozchodzi się powoli. Turiba sprząta
ze stołu, a w końcu wynosi i stół./

Horski.

Raz jeszcze dziękuje serdecznie.

7

Testem panom mocno obowiazany,
iż wacyliście dom mój rozszerzyć
swą obecnością.

Majkowski.

My do siebie łgniemy, jak pszczo-
ły do miodu.

Maliniewiczowa.

Wszystcy cieszymy się, iż los dał
nam takiego sąsiada - wier mi pan.

Horski.

Pani zbyt taskawa na mnie... sta-
rać się będę nie zawieść jej ufności.

(Maliniewiczowa i Zofja wychodzą.)

Majkowski.

Na kawkę, panowie! na rygatko!
proszę bardzo - do altany (Wychodzą.)

Scena II².

Horski - Łącki - Helena - Za-

bielski - Wanda i Majkowski.

Majkowski.

No powiedz, czy nie dobre wyprawy inauguracyjnego twego osiedlenia wśród nas?

Horski.

Przyjmij raz jeszcze moje najszczersze podziękowanie. Jestem ci bardzo wdzięczny, jeśli mi dopomogłeś w tem przyjęciu. Sam nie dałbym sobie rady.

Majkowski.

O, ja dla ciebie na wszystko jestem gotów. (Cytuje Horskiego.) Licz zawsze na mnie, ilekroć tylko potrzebować będziesz. Pójdę teraz robić, czy wszystko w porządku. (Wychodzi.)

Łacki.

8

Radzę ci, Juljanie, bądź ostrożny z
Majkowskim. Jest ich tu legion cały:
Majkowski, Todtowski, Zabłocki, Fi-
szer. Gotowi znówu cię stapać w swoje
sidła.

Horski.

Onie! Nikt mnie nie stapia w
swoje sidła! Dostyć już tego - zbyt wie-
le nacierpiatem się i naqtodritem w
życiu, czas opamiętać się przecie.

Łączki.

Daj Boże! Daj Boże!

Horski.

Z całym rapatem wernę się do pracy.
Stracitem mienie ojcowskie, ale tego,
co odriedriczytem po stryju, nie stracę.
Dawniejsze życie zbyt wyrażnie stoi
mi przed oczyma, abym mógł powró-

cić do niego. Ile cierpień, nawodów,
upokorzeń zniesić musiałem! - tego się
nie zapomnia. Teraz rozumiem
dobrze, iż szczęście tutaj - na łonie przy-
rody, pod cieniem starych drzew wta-
snego ogrodu, w pracy i odpoczynku
po trudach dziennych, a nie tam, w
szkieletku światowym, gdzie wszystko
sztuczne, fałszywe, gdzie nie ma pra-
wdy, a tylko wespół - na każdym kro-
ku fałsz i obłuda.

Łącki

Strzeż się, aby ci się zbyt prędko nie
spryskryto to życie pracy, jakie zamy-
ślaś prowadzić.

Horski.

Pracując ustawicznie nudzić się nie
będę. Oj pan Ludwik raczył mnie
już trochę obrunajmiąć z gospodar-

stwem, oprowadza po polach i lasach.
Zaczynam się powoli wtajemniczać
w wasze sekreta rolnicze. Przy takim
kierowniku, przywasz sam, nudzić
się nie można, a i praca nie spryknę
się tak łatwo.

Łęcki.

Pan Zabielski jest dla ciebie prawdzi-
wym skarbem. Strój nie zostawił ci
żubt wielkiego majątku. Można by
go łatwo stracić, ale pan Zabielski
doglądać będzie wszystkiego, niczego
nie ominię i robi dla ciebie wszy-
stko, co tylko będzie w jego mocy.

Zabielski.

Pan żubt taskawy na mnie, nie wiem,
czem zastużytem sobie...

Łęcki.

Mówię szczerze - ja nie Majkowski:
kłamieć nie potrafię.

Horski.

Tak, tak, Kochany panie Ludwiku,
ucz mnie, kieruj mną, a będę ci wdzięcz-
ny, jak ojcu rodzonemu. Sama myśl,
że mogę utracić wszystko i powrócić do
dawnego trybu życia, przestrasza mnie
i przeraża. Takie rad jestem, że ty
Józefie jesteś moim sąsiadem. Pra-
wdę ludzie mówią, że stary przyjaciel
więcej wart od dwóch nowych.

Łyczki.

A propos nowych przyjaciół, przy-
mij odemnie jedną radę: bądź z nimi
ostrożny - proszę cię o to. Zdaje się, że
z Majkowskim jesteś już na „ty”.

Horski.

Cóż w tem rdzowinego? Trzeseta, masz
stusznosc. Trzeba wystregac sie dawnych
bledow i okryscie dusze z roznych plew
i chwastow - a rozrosto sie ich tam co
niemiara.

Helena.

Teraz powinien pan pomyslec o gniazd-
ku dla siebie - czas juz.

Lacki.

Ze czas - to czas! Nie dobre jest zyc
samemu, kutaszera na wsi; katusknie
sie mozna i zamdziec w samotnosci.

Horski.

Alboz ja samotny! Twoja rodzina, ty-
karak obok. A tuz przy mnie pan Labiel-
ski, panna Wanda... Czyz z takimi ludzi-
mi, jak wy, mozna sie mudec lub katusknie?
Nie odpiedzicie mnie przeciez, a przygar-

niecie samotnego i ogrzejcie ciepłem
waszego ogniska domowego wyziębione
me serce. Tuż przez te trzy tygodnie,
które spędziłem wśród was, przywiązał
s dotaliliście mnie do siebie zupełnie.
Tak mi tu dobrze i przyjemnie, jak
nigdy dotąd nie było. (wchodzi Majkow
ski.)

Scena III^{cia}

Ciz i Majkowski.

Majkowski.

Tulku, Maliniewiczowa prosi cię na
chwilkę.

Horski.

Biegnę... wybaccie, zaraz wrócę.
(Wychodzi z Majkowskim.)

Scena IV^{ta}

Ciz, bez Horskiego i Majkowskiego.

Łącki.

Dobry chłopak z tego Tuljana, ale nadzwyczaj lekkomyślny i przedki.

Helena.

Mam nadzieję, że się teraz ustatkuje.

Łącki.

Daj Boże! Presztosć może recywywiście być dla niego dotkliwą lekcyą. Tuljan był już nieraz w ostatecznej uzdry. Dobry to, powtarzam, chłopak, poeciwo ma serce! Nie widziałem go dawno, jeszcze od czasów uniwersyteckich.

Helena.

Byliście razem?

Łącki.

Tak, ale później straciłem go z oczu.
(wchodzi Jan.)

Scena V^{ta}

Jan.

Pan prosi państwa do altany.

Łazki.

Więc pojedźmy - napijemy się czarnej kawy. Taki dzień, jak dzisiejszy, kościołać musi sporo, nieprawdaż panie Ludwiku?

Zabielski.

Ba! ba! (Wszyscy prócz Jana wychodzą.)

Scena VI^{ta}

Jan sprząta - wchodzi Parkosz.

Jan (zdziwiony.)

Pan Parkosz! Nareszcie!

Parkosz.

Jak się masz?

Jan.

Witam skanownego pana. Pan dziś dopiero przyjechał.

Parkosz.

12
Tak widrivr.

Jan.

Stanęł pan w miasteczku?

Parkosz.

Tak.

Jan.

Ola czego nie u nas - miejsca teraz
mamy tyle...

Parkosz.

Coż to dris' u was za kbiegowisko?

Jan.

A! Zwyczajnie! Sprawil przyjęcie,
więc goście sjechali. Mam kameldo-
wai?

Parkosz.

Poczekaj - zrobisz to później. Duro gości?

Jan.

Nie wiele. Drestą, czyż to goście?

Parkosz.

A co takiego?

Tau (robisz pogardliwy ruch ręką)
Phi! gromada pieczeniary, rada z
nadatkowej sposobności.

Parkosz.

Z miejsca jesteśadowolony?

Tau.

Nie bardzo, przynajmniej jak dotąd
nie raportowa się świetnie. Nie wiem,
jak będzie później, ale teraz wszystko
idzie opieszale. Siedzi ciągle z Tabiel-
skim, albo też czasami na cały dzień
jedzie do Łaskich. Po polu chodzi w
długich butach, dogląda niby gospodar-
stwa. Zaczętem już trochę wstąpić, aby
się udało i chciatem wracać do Warszawy.

Parkosz.

Nie gra?

Jan.

Nie ma z kim. Oł dris, jakis' dragal wż-
sady przyjechał, koto stolikón od kart
iż kręci, ciggle na nie patny - widac'
amator.

Parkosz.

Hrabia Edward bywa?

Jan.

Dris jest, ale i to nie odpowiednia
znajomość.

Parkosz.

Dla czego?

Jan.

Hrabia jeszcze taki młody - dżeciak
- prawie. Treba nie lada sprytu, aby
go od niego wydstać, wszystko w rżku
szabki.

Parkosz.

Ile moze mieć lat?

Jan.

Chyba nie więcej jak 18-cie.

Parkosz.

No a towarzystwo kobiece?

Jan.

Przędca ma córkę - czasem spaceruje z nim po ogrodzie.

Parkosz.

Spaceruje!

Jan.

Czasami - ale w tem nie ma nic złego. Wszystko odbywa się pod oknem ojca. Zresztą narzeczony jej...

Parkosz.

Aa - więc ma narzeczonego?

Jan.

Bywa tam jakiś. Mówią, że się stara o nią, ale nie ma się o co obawiać, to taki dzieciak jeszcze. Łdaje

mi się jednak, że lubi spacerować z Hor-
skim.

Parkosz.

Test kto więcej jeździ?

Jan.

Niema nikogo, chyba siona Łackiego.
A często często do nich jeździ, i oni też
nie radko do nas zajeżdżają. Dopiero
dziś jest jakaś panienka z mamą.
Zaczyna być trochę weselej.

Parkosz.

Zatem nic ważniejszego nie zasło.

Jan.

Nie! Precież rozumiem dobrze, o co
chodzi i gdyby tylko coś się stało, zaraz
dalbym znać.

Parkosz.

Dobrze, a teraz idź i powiedz, kim przyje-

chať. Czekaj-no; kto to idrie tutaj?

Jan (wpatrując się)

Majkowski.

Parkosz.

Což to ra jeden?

Jan.

Niby przyjaciel, a w rzeczywistości
gorszy od innych pieczeniark.
Kręci się tu ciągle.

Scena VII^{ma}

Ciri i Majkowski.

Majkowski (do Jana.)

Mój Kochany, kaź no mi jeszcze przy-
nieś koniaku. (Jan wychodzi.)

A! moje uszanowanie! Z kimże
mam honor?

Parkosz.

Takto, pan mnie nie poznaje?

Majkowski.

Zaraz, zaraz! Acha! wszakże to mój drogi Piotrus' Ciszewski (całuje go).

Parkosz (usuwa go)

Nie Piotrus'.

Majkowski.

Nie Piotrus'! A prawda, że to nie on!

Parkosz.

Więc nie porzucajesz mnie, panie Majkowski?

Majkowski.

Coś takiego znajomego! Acha! wiem już... (pausa) nie! znówu się mylą...
żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć...

Parkosz.

Nie w tem dziwnego, przecież widziałem
mnie panu poraz pierwszy.

Majkowski.

Po raz pierwszy? To dziwne, a skądże
mnie pan zna?

Parkosz (z naciskiem)

O, ja znam wszystkich i wszystko!
Cóż, w karty zagranę dzisiaj?

Majkowski.

Testes' pan amatorem?

Parkosz.

Zobaczysz - przecież i nasz dragol
jest tutaj.

Majkowski.

Mówisz pan o Jodtowskim? Testes,
jest i nudzi się biedak piekielnie.
Wiesz i jego znaś pan?

Parkosz.

Dla czegożbym nie miał go znać, skoro
znam wszystkich i wszystko...

Majkowski (na stronie)

To dziwne - Kto to może być?

Parkosz.

Nasze panie takie tutaj?

Majkowski.

Kogo masz pan na myśli?

Parkosz.

Zawsze wszystkich, no na przykład
tę mamunię z córką, czy też ciurunię
z matką...

Majkowski.

Ja - ja, więc pan i Maliniewiczowa
zna?

Parkosz.

Znam.

Majkowski.

Ale kto pan jesteś! Ja tu przynaj-
mniej wszystkich na 10 mil wokół
znaję, a pana w żaden sposób nie
mogę sobie przypomnieć.

Parkosz.

I z pewnością nie odgadniesz, dopóki
sam nie powiem.

Majkowski.

A więc powiedz pan.

Parkosz.

Chwilczkę cierpliwości, mogę pro-
sić o zapatkę?

Majkowski.

Sture. (Zapala zapatkę.)

Parkosz.

Dziękuję - a może i pan kapali?

Majkowski.

Chętnie. (Zapala cygaro.) Muszę
jednakże uprzedzić Tyljana.

Parkosz.

Nie obawiaj się pan, domyśli się
z pewnością. Łączy się naturalnie
tutaj.

Majkowski.

No naturalnie ... są.

Parkosz.

A ratem ?

Majkowski.

O co panu idzie ?

Parkosz.

Mów pan dalej.

Majkowski.

O czym ? o pani Helenie ?

Parkosz.

O pani Helenie.

Majkowski.

Nie dowiesz się pan odemnie ani jednego słowa. Pierwszą moją regułą jest nie sądzić nikogo i co się nie dotycze mnie osobiście, do tego się nie wtrącam. Będąc jednakże na miejscu Łackiego, uważałbym pilnie i bacznie. Kobieta młoda,

przystojna, na wsi nudy, mażi caty Dzieci
w polu, a tu nagle taki przyjaciel domu
Co pan o tem myśli?

Parkosz.

No, a córka rządy?

Majkowski.

E, to tylko dla rabicia czasu.

Parkosz.

Daj mi pan jeszcze ognia, cygaro
ile ciagnie.

Majkowski (podając).

Stwier... Ja naturalnie nikogo nie
sądzę z porowu, lecz... (wchodzi Julian.)

Scena VIII^a

Ciri i Horszki.

Horszki (obojetnie)

A to ty? Jak się masz!

Parkosz (całuje go.)

Witaj mi, mój drogi, kochany Julku.

Horski.

Dawno tu jesteś?

Parkosz.

Przed chwilą wysiadłem z bryczki.

Horski.

Bardro się cieszę, że cię widzę...
Takiej licha przyniosło cię w nasze
strony?

Parkosz.

Interesa.

Horski.

A prawda! że ty po ra scenę masz
kawę jeszcze mnóstwo interesów.

Majkowski.

Tak samo jak ja.

Horski.

Oprzepraszam, pomiędzy wami
jest pewna różnica, Parkosz ma
rzeczywiście interesy, a ty... ty drobne

interesiki raledwie.

Majkowski

Et pleciesz... Alboś nie wiesz, jakie
ja czasami interesa prowadzę - ha, ha
Teraz na przykład, jaką ci parę ka
stanków dobratem.

Horski (do Parkosza.)

Takieś więc interesa sprowadzity cię
tutaj?

Parkosz.

Moje interesa to nie para kastan
ków i dla tego nie mogę o nich mi
wić w obecności innych. (cicho do
Horskiego) Odprawie tego natręta.

Horski (do Majkowskiego.)

Mój drogi Karolu, zobaczno, co pora
biają nasi goście. Gdyby się pytano
o mnie, powiedz, że zaraz wrócę.

Majkowski (odpowiadając Hor

19
skiego na stronę.) Kto jest ten jego-
mość?

Horski.

Dawny mój znajomy.

Parkosz (cicho do Horskiego.)

Tak widzę, pytał cię się, kto ja je-
stem. Nie mów mu tymczasem nic.

Majkowski.

Ach Julku, w jakim ty mnie poto-
żeniu stawiasz! Coż powiem, skoro
mnie spytają.

Parkosz.

Powiedz pan, że przyjechał dawny
znajomy Henryka. Czy to nie wy-
starczy?

Majkowski.

Dziwny z pana człowiek! „Dawny
znajomy”! Niech się tylko jedna
Maliwiewiczowa do mnie przysiępi,

to już nie puści z pewnością. Nie wy
krezę się jej tak łatwo, a jeszcze się
obrazi, jak jej powiem „dawny zna-
jomy.”

Partosz.

No to pan powiedz, że jestem hra-
bią... hrabią Cagliostro.

Majkowski.

Coo?

Partosz.

Ha, ha, ha! Tak, tak, hrabia Ca-
gliostro, ni mniej ni więcej.

Majkowski.

Nie żartujcie, panowie, to nie na
miejsu. Przecież ja wiem dobre...

Partosz.

Skoro pan wieś, czegoś się dopytu-
jesz...

Majkowski.

2

20

I ty, Tulku, i ty mi nie ufasz?

Horski.

Zostaw nas na chwilę samych,
a później dowiez się o wszystkim.

Majkowski.

Do czasu tylko będę cierpliwym...
A jak mnie kto spyta, powiem, słowo
honoru daję, powiem, że przyjechał
hrabia Cagliostro... nawet zapew-
niać będę wszystkim.

Parosz.

Pamiętaj pan.

Majkowski.

Dla czegoż bym nie miał powie-
dzieć? Niech potwierdzą gośby
ze zdrwienia. (N. S.) W tem musi
coś być, ale dalibóg nie nie rozu-
miam... Zresztą po co mi to wszystko.

(wychodzi.)

Scena IX.^{4a}
Horski i Parkosz.

Parkosz.

Rzydent ?

Horski.

Bynajmniej - szlachcic.

Parkosz.

Cóż to za jeden ?

Horski.

A kto go tam wie ?

Parkosz.

A jednak jesteście już z sobą w ta-
kiej rarzytości.

Horski.

Cóż w tem złego ? Nie z takimi, lecz
stokroć może z gorszymi od niego
bytem w jeszcze większej rarzytości.
Ale mówże mi naradzicie, co cię do
mnie sprowadza ?

Paskosz (po chwili).

Wszak znasz Irenę Janick, naszą
prymadonnę?

Horski.

Osobiscie nie, słyszałem tylko wiele
o niej. Kiedy ta gwiazda kabrysta
na horyzoncie, byłem już wówczas
zewem i do sfer tak wysokich nie
sięgałem.

Paskosz.

Przyjechała tutaj.

Horski.

Do mnie?

Paskosz.

Nie do ciebie, ale w sąsiedztwo.
Rozbiliśmy wóz Thespisa w pobliż-
kiem miasteczku.

Horski.

A!

Parkosz.

Pragnie z tobą nabrać znajomości.

Horski.

A to na co? w jakim celu?

Parkosz.

Tuljanie! ja cię nie pornaję kupod-
nie. Nigdy nie spodziewałem się po-
dobnego pytania.

Horski.

Cóż tak dziwnego w mojem pytaniu?

Parkosz.

Nie pornaję cię! Pragnie zapoznać się
z tobą, jedna z najbliższych kobiet,
jakie widziałem na świecie, a ty mó-
wisz „na co?”

Horski.

Na honor, nie widzę w tem nic sze-
gólnego. Nie mam nic przeciwko te-
mu, ale...

Parkosz.

Daj pokój, nie tłomacz się. Powiedz
lepiej otwarcie, że jesteś zakochany...

Horski.

Pleciesz, jak Piętkowski, że zakochany!...

Parkosz.

Nie wyprowadzisz mnie w pole, a przy-
najmniej nie uda ci się to tak łatwo.
Gdybyś nie był zakochany, to rękami
i nogami chwyciłbyś się sposobności
porwania Treny.

Horski.

Alex, mój drogi, tu nie o miłość idzie.
Mówiąc otwarcie kuiszerytem, sburzy-
tem wszystko, czemu dawniej cześć
oddawałem.

Parkosz.

Śmieknij jesteś! A więc oddawateś cześć
temu, co burzyteś, teraz zaś pod wpływem

wiejskiej ciszy na scenę wystąpi wkrótce
ognisko domowe, ciche, spokojne życie,
pantofle i kochająca żona, pytanie
tylko: czyja?

Horski (gwaltownie).

Tarkosz! co to ma znaczyć?

Tarkosz.

Aha! Jowisz zaczyna się quiewać.

Horski.

Nie myślę się quiewać, ale jeśli chcesz
przez to zrobić jakieś podejrzenie...

Tarkosz.

Na nikogo nie myślę zrobić żadnych
podejrzeń, gdyż do swoich rozrywek
wtrącać się nie mam najmniejszego
prawa. To, co powiedziałem, to tylko ze
względów na waszą dawną przyjaźń i
sądro... (urywa) Cóż tak ironicznie
się uśmiechasz?

Horski.

Alex nie - mów dalej...

Parkosz.

Tereli nie podoba ci się stowo przyja-
źni, to...

Horski.

Przeciwnie, to ładne stowo.

Parkosz.

A więc ze względu na naszą dawną
„znajomość”, radzę ci, abys' nie omijał
sposobności rabrania znajomości z
Ireną, a to nie tylko dla jej pięknych
oczku.

Horski.

Dla cregoż więc ?

Parkosz.

Choćby ze względu na twoje squisko
domowe i nudy wiejskie.

Horski.

Ha, ha, ha! Swatem rostatas' ? Zouez
mi raisz ? Of i embarras de richesse!
Wiesz ty, że u nas Majkowski tem się
podobno trudzi ?

Parkosz.

Gdyby rzecz cata nie była tak powa-
żną i gdybym cię nie ratował, z pe-
wnością nie przebaczyłbym ci tych
słów i tego tonu, jakim do mnie
premawiasz.

Horski.

Cóż to groźba ! Wyborny jesteś ! No,
mów dalej, słucham.

Parkosz.

Po pierwsze, mój przyjacielu, ja ni-
gdy nikomu nie grożę, a...

Horski.

Między innymi, politykasz bez uprzedniego
uprzedzenia. Widocznie, że masz ape-

tyt i na mnie.

Parkosz (z gniewem.)

To ma być wiejska gościnność i uprzejmość!

Horski.

Maż stuskrność, wybacz! Krew ude-
ryta mi do głowy... Mówisz, żeby
poznać się z Treną? Dobrze - jestem
gotów, - ale w żaden sposób nie mogę
zrozumieć, co tu ma knaczyć ogni-
sko domowe?

Parkosz.

Nie trzeba, mój drogi, przypominać
o grzechach młodości i przed tem, nim
się zacznie nowe życie, trzeba skwiczyć
rachunki ze starem. Niegdyś wybornie
podpisywałeś weksle.

Horski

A!

Parkosz.

Czy sądzisz, że ci, co je brali, ciekawi
byli tylko swoich autografów?

Horski.

Mów wyraźniej.

Parkosz.

Wyraźniej mówić nie można. Twoje
weksle odbywały podróże po całym
świecie, a wreszcie dostały się w jedne
ręce, powiem odwarcie, w silicnie i
małe rączki, których każdy paluszek
ucatowałbyś dawniej z prawdziwą przy-
jemnością.

Horski.

Co?

Parkosz.

Tak, mój drogi! Z tego powodu pewnie
uszanowanie dla tej pięknej kobiety
zaszkodzić ci nie może.

Horski.

Powiedz, na jaką sumę jest tych
weksli? O ile sobie przypominam, dużo
nikt mi nie dawał.

Parkosz.

Wyborczy jesteś! Idzie o pieniądze,
a ty mówisz: „o ile sobie przypominam.”
To prawda, że dużo nigdy ci odrazu
nie dawano, ale raśo brates' często,
a przytem weksle dawales' arystokracji-
caue - podwojone...

Horski.

Oddam wszystko.

Parkosz.

O tem nikt nie wątpi.

Horski.

Teraz mam to czego oddać, nie będę
wstydymywał wyptaty... Zwrócę wszystko,
choćby mi przyszło poświęcić się z tem

Tak osmiessronem przez Ciebie ogniskiem
domowem i rypciem wiejskiem... ha, ha, ha!
Ale ty, mój drogi, poczciwy jesteś! ile
troskliwości o mnie! Przyjechałeś mnie
uprzedzić, a jednak czemu jestem dla
Ciebie? Tak, tak, HeKuba tylko... Raz
jeszcze ci dźwiękuje... Jedno tylko pyta-
nie, które mnie rywo obchodzi! Nie wiesz
ty, jakim sposobem te weksle mogły się
dostać w te ręce? Kto je potrafił ugru-
pować tak rozgornie? Nie wiesz?

Tarkosz.

Jeśli masz zamiar dłużej przemawiać
do mnie takim ironicznym tonem, nie
mam tu co robić, odjadę.

Horski.

Poczekaj, nie puszczę cię tak łatwo...
Zwarz tylko: tyle czasu nie widzieliśmy
się wcale... Stuchaj! a ten weksel-panię.

tasz - czy także w jej ręku?

Parkosz.

Na twoje szczęście.

Horski.

Teraz rozumiem: oddzielnego wykupu
pu kładacie za niego.

Parkosz.

Masz do czynienia z uczciwymi i
porządnyimi ludźmi

Horski.

Wszakże ci porządni ludzie karali
mi, ba! zmusili nawet do podpisania
go.

Parkosz.

Kto cię zmuszał?

Horski.

Nie o tobie mówię, ale ten, kto mi po
pijanemu poradził coś podobnego,
bądź jedynym z twoich znajomych.

Parkosz.

To niczego nie dowodzi. Widzisz teraz,
nie staratem się dostać ten weksel, a ty
jeszcze gniewasz się o to.

Horski.

Prebacz, mój drogi, zapomniatem na
pamięć... Masz stusruosä, jesteś moim
przyjacielem.

Parkosz.

Poznać ten ton, w przeciwnym razie odja-
dę bezrotownie.

Horski.

Nie, nie, mój przyjacielu! ja się nie
puszczę. A krewką przygnaj, że nie masz
ramiaru odjeżdżać. Jest tu wiele cio-
kawych rzeczy do widzenia, nie potrzebu-
jesz się spieszyć.

Parkosz.

Bądź zdrow!

Horski.

Poczekajno jeszcze! Bóże mój, na ja-
kas' ty chwilę traf! Gdybyś wiedział,
gdybyś mógł zrozumieć, co się zemną
dzieje - ulitowałbyś się nademną, nie
mówiłbyś mi, nie przypominat.

Parkosz.

Unosisz się niepotrzebnie. Pieniądzy
z pewnością na razie nikt od ciebie
żądać nie będzie. Jestem przekonany,
że Irena chętnie przystanie na pro-
longatę.

Horski.

Nie chcę... oddam wszystko zaraz.

Parkosz.

O ten weksel możesz być zupełnie spo-
kojny. Predsigwornu wszelkie środki
i możesz być pewny, że nikt się nie
dowie o tem.

Horski.

Ty... ty przedsięwzięmiesz środki...

Parkosz.

Stuchajno, co to za damy idą tutaj?

Horski.

Dojrzałeś już! No, zgadnij, hrabio Cagliostro? Albo nie, podeskaj, jeszcze nie puszczę cię do nich. Obawiam się, żebyś ich nie potknął! Cóż tak dziwnie patrzysz się na mnie? Chcesz odgadnąć która? Rzeszywiście to ciekawe! Zgadnij... Ale nie! nie zgadniesz, nawet Majkowski nie może zgadnąć.

Parkosz. (surowo.)

Tuljanie!

Horski

Nie gniewaj się, a pojedź lepiej ze mną, napijemy się koniaku... Spójrz, wcale nie brzydkie, prawda? Ha, ha, ha! Wy-

boruy z ciebie homo. No, chodźcie już!

(wychodzą.)

Scena X^{ta}
Helena i Wanda.

Helena.

Z kim to rozmawia pan Julian?

Wanda.

Nie wiem, jakiś nieruajomy widocznie.

Helena.

Taki dżis' pan Horszki wzywiony, wesoty.

Wanda.

On zawsze taki! So wesoty, a ra chwile znou smutny, ramysłowy; to rozmawia wesoto, mówi bez ustanku prawie, a crasem znów, jak ramilknie i ramysłi się, so siedzi milczący długo, bardzo długo. Wtedy pa-

trac na niego, robi mi się tak ciężko i smutno na sercu, że na ptack mi się zbiera... Ale za to czasami, kiedy racznie opowiadać o swych przygodach, o swoim życiu, to słuchać można godzinami całymi. A jak śpiewa! Pauni słyszała go śpiewającego?

Helena.

Oresto śpiewa u nas.

Wanda.

Nasłuchać się nie można! Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby kto tak śpiewał. Widocznie wiele musiał przecierpieć.

Helena.

Waudriu, powiedz no... mnie się wydaje, że nie zupełnie jesteś obojętna dla niego?

Wanda.

Nie wiem, jak to narwać... lecz ja
precież o nim nie myślę, jabym dla
niego wszystko zrobiła, na wszystkim
gotowa; ale nie myślę o jego miłości,
nie śmiem o tem myśleć nawet. Czasami,
kiedy jedzie do państwa, nie tęskno
mi bez niego, a przeciwnie radołoną
jestem.

Helena.

Zadołowana?

Wanda.

Wiem, że mu u państwa weselej.
Tak was kocha: pana Józefa, panią!
Czasami widzę, że chodzi smutny,
wtedy mówię: jedź pan do państwa Łę-
kich, rozświeś się trochę. I pojedzie,
a ja siedzę i myślę: ot, teraz jedzie
przez groble, teraz to pewnie jest koto-
młyna, albo wjechał już do lasu, teraz

zajechał przed dwór... i ciągle, ciągle
go widzę, widzę, co robi, słyszę, co mówi.

Helena.

Wandriiu droga! Ty go kochasz.

Wanda.

Czyż to można narwać miłośnią?

Helena.

Ale cóż będzie z Walickim? Podo-
bno stara się o ciebie?..

Wanda.

O, nie mów mi pani o nim... Ja sama
nie wiem, co robię? Walicki jest bardzo
dobrym dla mnie, rodziców jego powa-
żam i szanuję, ale pomimo to, sama
nie wiem, co porządzić. Nie mam innego
wyjścia, jak tylko do klasztoru wstąpić.

Helena.

Po co?

Wanda.

Tereli nie pójde za Walickiego, to cóż
innego mi porossaje? Kiedy Walicki
mnie pytał, czy chcę zostać jego żoną,
nie wiedziałam, co odpowiedzieć, batam
się słówka przemówić. Przystojny i dobry
chłopak, a jednak mi tak straszno
czegoś.

Helena.

A gdyby cię pan Juljan zapytał, czyś
odpowiedziała?

Wanda.

Co ten pan mówi? Ja o tem nie
śmiewem pomyśleć nawet, czyż ja mogę
marijść...

Helena.

No, ale gdyby tak spytał?

Wanda.

Powiedziałabym: panie Juljanie, ja pa-
na tak kocham i tak seranuję, że na jedno

two stonko rzucić się gotowam dla ciebie
do wody; wkrętko kniesi dla ciebie po-
trafię, ale nie jestem się wasta, nie je-
stem stworzona na konę dla ciebie,
nie mogę być nią... (ptasz)

Helena.

Uspokój się, moja Wandriu. Widzę,
że kochasz go całą siłą swej pierwszej
miłości; kochaj go nadal, on godzien
twojej miłości. Tymczasem nie myśl
o wzajemności, ani o sobie, tylko taka
miłość sprowadza prawdziwe szczęście.
A on tyle precierpił, tak mało ra-
zuat szczęścia, że trzeba go ratować...

Wanda.

Gdybyś pani wiedziała, jak ja go ratu-
ję... Widzę precie, że jemu czegoś
brakuje, widzę, jak smutnym, rozpaczo-
nym bywa czasami.

Helena.

Droga moja Wandeczko! Otrzyj testki,
bo zobaczył je gotowa pani Maliniewiczowa.

Wanda.

Uciśkam stąd... porwól mi pani
raz jeszcze cię uciśkać.

Helena.

Drogi moje dziecko.

Wanda.

Ale nie mów mi nic, proszę cię o to.
Ja bym ze wstydu chyba umarła.
Przyrzeknij mi, że nie powiesz.

Helena.

Bądź spokojna - nie powiem.

Wanda (ciągnie ją i wybiega.)

Scena XI^{1/2}

Helena, Maliniewiczowa i Zofja.

Maliniewiczowa.

To już racyna być nieprzyzwoitem, wsty

scy się porozchodzili. Cóż paui na to?

Helena.

Nie wiem, o co idzie.

Maliniewiczowa.

Przyjechał podobno jakiś młody magi-
czyna, ale w żaden sposób nie mogę
się dowiedzieć, co za jeden. Mówią, że
bardzo przystojny. Czy paui widziata go?

Helena.

Trochę.

Maliniewiczowa.

No i cóż?

Helena.

Nie oglądam go przecież szczegółowo.

Maliniewiczowa.

E, paui się rawsse karty trzymają! Nie
można tego lekceważyć. Ten Horszki
doprowadza mnie do rozpacz, nie mo-
gę go zrozumieć. Powiedz paui otwar-

cie, czy go przecież znasz lepiej, czy
 on - jakby to powiedzieć - jest możli-
 wy?

Helena.

Pod jakim względem?

Maliniewiczowa.

Czy wogóle można na niego liczyć!

Ta, doprawdy, że go nie rozumiem.

Czy myśli się z nim?

Helena.

Nigdy nie mówiałam z nim o tem.

Maliniewiczowa.

Ale, powiedz pani otwarcie - na co że
 mną te ceregiele. Zawsze byłam otwar-
 ta, tak panią Kocham, powariam... Pa-
 nien na wydaniu nie ma u nas kupa-
 nie...

Scena VII¹²

Ciri i Majkowski.

Maliniewicza.

Czy to się godzi tak postępować?
Przyjechał ktoś obcy, a pan ułobniesz
się go, jak kamfora, niema się
kogo zapytać... Mów prędzej, ktoż to
taki, kto to jest?

Majkowski.

Hrabia Cagliostro.

Maliniewicza.

Hrabia! Łosiu - stysyr! - Hrabia!
Jak się nazywa?

Majkowski.

Hrabia Cagliostro.

Maliniewicza.

Stysyrataw coś o nim... Cagliostro... tak,
znane mi nazwisko...

Zofja.

Alex to w powieści, mam.

Maliniewicza.

W jakiej powieści?

Lozja.

Dumas'a - czytaliśmy niedawno.

Maliniewicza.

Prawda, - ale rawsze hrabia... nie
nie rozumiem.

Lozja.

W kardym razie to nie ten, samten
musiał już dawno umrzeć.

Maliniewicza.

Cóż to, kariatować pan chciates' ze
mnie! Teraz sobie przypominam: hra-
bia Cagliostro! hrabia Cagliostro!..
Mów że pan, co to knaczy? Drwiny so-
bie stoisz ze mnie?

Majkowski.

Boże uchwaj! cóżby mi na tem
zalerato? Chciej panu tylko porozumieć.

Maliniewicza.

O niczem nie chcę już wiedzieć, ni-
czego nie słucham. Jeżeli za naszą
przyjaźń, rywerliwość osmielasz się kar-
towaćić z nas...

Majkowski.

Zupetnie niestuszny gdzieś panu. Jeżeli
ja sam nie więcej nie wiem...

Maliniewicsowa.

Pan nie wie! Przecież pietroczy wy-
szedłeś na jego spotkanie, rozmawiałeś
z nim.

Majkowski.

Rozmawiałem z nim, ale się przekona-
łem, że to człowiek sprytny, o! sprytny...
Zna wszystkich i wszystko... I Jodłow-
skiego zna, i mnie zna i panią, zna...

Maliniewicsowa.

Coo? i mnie zna?

Majkowski.

Zna.

3

39

Scena XIII^{ta}

Ciż, hrabia Edward i Jodtowski.

Maliniewiczowa.

Gdzież oni są?

Hrabia Edward.

Kto taki?

Maliniewiczowa.

No Horski z tym siewio przybyłym
hrabią?

Hr. Edward.

Przyjechał jaki hrabia?

Maliniewiczowa.

Wszyscy o tem wiedzą oddawna.

Gdzież się hrabia obracał?

Hr. Edward (zawstydzony.)

Byłem z panem Jodtowskim w ogro-
dzie, a później poszliśmy do stajni
obejrzeć konie.

Maliniewiczowa.

Hrabia siedziałby drzeć caty w stajni
a to nie przystoi... Pan Majkowski
mówi, że hrabia jest sprytny esto-
wick, wszystkich zna (do Jodtowskiego)
I pana zna.

Jodtowski

Bardzo być może, pewnie widziałem
go gdzieś na jarmarku.

Maliniewicza.

Wyobraźcie sobie państwo, nikt nie
wie, kto on jest?

Hr. Edward.

Nawet ty, panie Karolu?

Majkowski.

Nie wiem.

Hr. Edward.

To dziwne.

Scena XIV^{ta}

Ciz, Horszki i Parkosz.

Horski.

55

Wybaczcie państwo, że...

Maliniewicza.

Wreszcie pan tak prędko, przestraszyłam się...

Horski.

Mam zaszczyt przedstawić mego dawnego znajomego i... przyjaciela - pana Parkosza.

Majkowski (do Parkosza)

Ba, ba, ba! Po co to byto ukrywać przedemną? Treba byto odrazu powiedzieć.

Parkosz (odsuwając go).

Pana mam już przyjemność znać...

Horski (przedstawiając.)

pani Maliniewicza.

Maliniewicza.

Bardzo mi przyjemnie... To moja córka... dziwi pana, że mam już dorostę

córke...

Parkosz.

Nigdy bym temu nie uwierzył, gdybym
nie słyszał z ust pani.

Horski (przedstawiając)

Pani Łaska.

Parkosz.

Mąż pani jest moim dobrym zna-
jomym, kolegowaliśmy razem w szko-
łach.

Łaska.

Nie raz słyszałam od niego narzekanie
pana.

Horski.

Hrabia Edward.

Parkosz.

Pieszę się mocno z porwania hrabiego.

Horski.

Pan Jodłowski.

Jodtowski.

Nie przypominam sobie, abym pana widział kiedykolwiek.

Parosz.

Ja również.

Maliniewicza.

A skąd mnie pan zna?

Parosz.

Dzisiaj chwili nie miałem przyjemności...

Maliniewicza.

Cóżś napłótk, panie Karolu? Mówi-
tes, że pan Parosz pytał się, czy je-
stesmy tutaj?

Parosz.

Pytatem się pana Karola rogóle o
gości, a on był tak taskaw powiedział
mi, że panu jest również.

Majkowski.

Pytates się pan wyraźnie: „A panu

Maliniewiczowa z córką jest także?

Ja mówię: jest."

Parkosz.

Zapewniam pana, że jesteś w błędzie
Majkowski.

Nie widzę tego.

Maliniewiczowa (do Parkosza.)

Pan prosto z Warszawy?

Parkosz.

Prosto.

Hrabia Edward.

Tam teraz musi być wesoło.

Parkosz.

Bardzo wesoło, zbliżają się wyścigi,
więc zjedzie się mnóstwo osób... życie
zaczyna się ożywiać.

Hr. Edward.

Ta chyba nigdy nie dostanie się do
Warszawy.

Parkosz.

Ila crego?

Mr. Edward.

Oczekuję tej chwili z wielką niecierpliwością, ale babka... Trzeba panu wiedzieć, że mam babkę, księżkę, która nie chce mi pozwolić na wyjazd do Warszawy. Bwi się widocznie...

Parkosz.

Crego?

Mr. Edward.

Żebym stugów nie narobił.

Parkosz.

A!

Zofja.

Taki obecnie kolor w modzie?

Parkosz.

Zielony.

Maliniewiczowa.

Nie może być, a my jeszcze czerwoną
nosimy. Takie mnie to cięsy, w zielonym
kolore jest mi, podobno, bardzo do twarzy.
Parkosz.

Są takie osoby, którym we wszystkim
do twarzy...

Maliniewicza.

Ale po podróży musisz pan być gło-
dny, musimy pana nakarmić... Są-
siad pozwoli, że kajmę się gospodarstwem.

Korski.

Sprawi mi to wielką przyjemność.

Jodtowski (do Parkosza)

W karty pan grywa?

Parkosz.

Orazami.

Jodtowski

Na wielką stawkę?

Parkosz.

Różnie.

Maliniewicsowa (w czasie
rozmowy Todtowskiego z Par-
koszem - do Heleny.)

Stracitam już głowę zupełnie, dwóch
mam teraz do wyboru, a nie wiem, którego
wybrać. (Do Parkosza) Panie Parkosz,
proszę do altany!..

Parkosz.

Sturż pani. (podaje jej ramię.)

(Wychodzą: Maliniewicsowa, Lofja,
Parkosz, Todtowski, hrabia Edward.)

Scena XV^{ta}

Horski, Helena i Majkowski.

Majkowski.

Przypominam sobie teraz! Był kiedyś
komisantem w Warszawie, a później wto-
czył się z jakimś wędrowną trupą aktor.

Skaz.

Horski.

Ten sam.

Majkowski.

A to niespodzianka dla Maliniewicso-
wej! ha, ha, ha! Nawet nie przypuszcza
biedaczka! Muszę też unylnie roba-
czyć, jak baba naprośno proch traci!
Wyobrażam sobie jej rozczarowanie,
skoro się dowie! ha, ha, ha! (Wychodzi.)

Scena XVI^{ta}

Horski i Helena.

Helena.

Co panu jest? States' się odrazu tak
smutnym, ranyjlonym? Nad czym
się tak ranyjliłes'?

Horski (nerwowo.)

Nad czym się ranyjliłem? nad bardzo
ważnym przedmiotem. Myślę i zastana-
wiam się, jak nietrwalemi są wszystkie

reczy ziemskie; myślę, jak biedni, śmie-
szni i politowania godni są ludzie, wraz
ze wszystkimi ich projektami i rania-
niami. Ktoś pracuje, rabiega, zbiera, jak
mówka skrzętnie, - nagle dmuchnął
wiatr i gdzie jesteś człowiecze?

Helena.

Coż nasunęło panu do głowy podobne
myśli?

Horski.

Dawne wspomnienia, wspomnienia
przeszłości. Teraz dopiero widzę, jak
jestem śmieśny! Ja - Julian Horski,
budujący gmach mej przyszłości. Jakże
to dla mnie nieodpowiednie i niefortunne!

Helena.

Nie widzę w tem nic śmieśnego.

Horski.

Bo nie kwasz mnie panu! Czyż mogę

myśleć o jutniejszym dniu, kiedy całe
życie moje jest szeregiem „dni drisiej-
szych”. Dni kotaczą się jeszcze na świecie,
driski Bogu i ra to, a jutro, jutro - kto wie.
Helena.

~ Nie rozumiem pana.

Horski.

Nie ma tu nic nierozumiałego lub
trudnego do pojęcia. Nie ma dla mnie
miejsca wśród żyjących na świecie,
w tej powszechnej i ogólnej biesiadzie.
Miejsca swego nie posiadam, a wis-
kam się wśródzie i rawse przemocz, nie-
proszony, nieporządany, siadam na czy-
m kolwiek miejscu i racynam hata-
lować, dopóki nareszcie inny widzi, ma-
jący bilet w ręku, nie oderwie się gwał-
tem: „przepraszam, rajstes' pan moje

miejsce - oto bilet!" Widziałas' pani kiedy
takich ludzi w teatrze naprzykład? Wsta-
nie wówczas kawstydrony, csetwony, jak
mak polny i, psepasrajac, chytkiem,
chytkiem kieruje się ku drzwiom. Otóż
i mnie tak ciągle wypada cofać się chy-
kiem. A dla czego? Bo wszyscy pmyrli
z biletami, a ja jeden bez biletu. Oni na
ten bilet kapracowali, jak? mniejsza
o to, ale kapracowali... Ja kas' csekam
kawse gotowego. Kas' pani mówi, że chce
pracy ta twoj, gotowej, ale to nie prawda,
nie gotowej pracy sukam, ale gotowe-
go wreszćcia. Skoro i to nie pomore, kie-
dy uradzę się jako tako i powodzenie mi
sacyna sprzyjać, kiedy dostanie mi się,
jak teraz, spadek, wtedy rjawia się ja-
kiś cctownik z biletu w rżku, a ja znova
chytkiem, chytkiem...

Helena.

Na co?

Horski.

Na dawne me grzechy raprowe. Czy nie rechciałbyś pau - mówi taki cztowiek - popracować trochę w polie czoła, zdobyć sobie stanowisko...

Helena.

Panie Juljanie! kacsynam się domyslać i rozumieć, co znaczą twe słowa, ale dla czegoż mówisz tak lekceważąco o sym-
pocie czoła? Praca to zbawienie cztowika, ona go odradza, zbawia nawet czasami.

Horski.

Wiem o tem, ale czy ja zdolny jestem do pracy? Dla kogo? na co? Więc opuszczam głowę na pierś i czekam gotowe go już wreszcienia.

Helena.

Ależ tym sposobem upaść można
bardzo nisko.

Horški.

Ha i cóż z tego? Jestem przynajmniej
sam, nikogo za sobą nie pociągnę w
otłoco. A moje właśnie do nieszczęście,
że jestem sam na świecie, że nie mam
nikogo, kto by mnie podtrzymał, poparł,
przymiarł do życia... Nie mam dla kogo
żyć, nie mam względem nikogo żadnych
obowiązków i dla tego...

Helena.

Poszukaj pan sobie żony.

Horški.

Czyż jest na świecie kobieta, którą bym
mógł zaślubić? A jeśli bym nawet zna-
ł taką kobietę, jak ja - czyż mógłbym
ją pokochać, kiedy sam siebie nienawidzę?

Jezyi ona by mnie uratowata?

Helena.

Skukaj pan nie takiej, jak ty sam.

Florski.

A ratem chcesz pani, abym siegnął po
coś czystego, nieskalanego i z niem respo-
liż swą straconą, na rownsze duszę.

Helena.

Nie jesteś przecie zgubionym ostatecz-
nie lub upadłym cztowikiem, ale duszą,
taknącą jedynie. Taka zaś czysta, nie-
skalana istota wskarata by ci drogę,
którą ty teraz widzisz przed sobą, w tak
ciemnych barwach; przytadem swym
sprawita by, że pokochalbyś nie tylko
roskosse i zabawy, ale i życie pracy
ze wszystkimi jego sierpieniami, za-
wodami i niepowodzeniami w udziale,
ale jednocześnie z cichem wreszcie spo-

kojem; wszczepiłaby w łonie pocucie tych obowiązków, które są dla ciebie koniecznymi, jak to sam przyznajesz; zachęciłaby cię do pracy, zapewniając, że jest w niej wiele przyjemności i wewnętrznej radości; stworzyłaby nowy świat dla ciebie, być może, że nie światy i błyszczy, ale szczery i prawdziwy; dopomogła by ci wreszcie do skończenia rachunków z przeszłością i stworzenia nowej, szczęśliwej przyszłości. Tak, panie Tuljanie, światło rozprasza ciemność, a życie przewycięża śmierć.

Horški.

Może masz panu stusznosc, ale powiedz, gdzie znajdziesz taką istotę, czem kasturę sobie na jej nitosä? Aby mnie pokochała taka istota, ja sam musiałbym się zmienić, przewyciężyć samego siebie, a czuję, że

sam jeden nie jestem w mocy dopiąć tego... Pod uroczystym jej wptytem, ograniczonym niechęcią być może, nie się jeszcze zdolam podnieść, ale... ale... - no widzi pani, że znova szukam gotowego szczęścia.

Helena.

! Kto wie, może znalazłes' już takie szczęście.

Florski (z ironią.)

Kto wie?

Helena.

Wątpisz pan! Co do mnie, wiem na pewno, że jest jedno piękne, cudne dziewczę, które pana pokochało, które cię kocha i jak jeszcze! Gdyby wszyscy ludzie tak kochać umieli!

Florski.

Kocha mnie? mnie? za co?

Helena.

Czyż ludzie są zawsze tak interesowani,
aby kochać ra co?

Horski.

Ktoż ona, ta święta dusza? Albo nie,
lepiej nie mów mi pani jej imienia,
gdyż nie czas mi myśleć o matczyństwie.

Helena.

Dla czego?

Horski.

Bom niebrak prawie, bom krzyżowany
niemal do szczętu.

Helena.

Do szczętu.

Horski.

Pravie; - nie wiem, rostaną pewnie
jakies' resztki.

Helena.

Może da się jeszcze co uratować?

Ona ma posag, nie wielki wprawdzie,
ale rawrze ma coś, ojciec odda jej wsey-
soko, co tylko posiada, bo dla niej tylko
zbierał, dla niej tylko żyje... Czyi tak
wiele pan potrzebujesz, aby rozpocząć
życie pracy? Ona też pracowita, a
z panem chętnie niedostatek nawet,
zniesić potrafi.

Horski.

Kto ona, o kim panu mówisz? czyiby?..

Helena.

Tak - to ona, Wandzia. Sama przyzna
ta mi się.

Horski.

Za co, za co ona mnie pokochała?

Helena.

Choćby za tę samotność, za ten smu-
tek wieczny. Ona ma tak piękny duszę,
jak prawdziwa Polka mnie współczuje,

współboleć.

Horski.

Drogie dziecię! Takos' dziwnie robi mi się na sercu! Tyle szczęścia! Tyle szczęścia! Gdy bytem dzieckiem, piatekka mówita mi rawsze, że, jeśli upotka mnie w życiu niepodziwane jakie szczęście, będzie to ruak widomy, że matka moja tam w niebie modli się za mnie do aniołów, do Boga... O matko moja! jakaś ty dobra! jakże gorąco modlić się musisz! jak ty mnie kochasz!

Helena.

A pan nie będzie kochać swej Wandy?

Horski.

Czy ja będę kochał? Wiesz mi pani, ilekroć ja widzę, patrzę na nią, - tyle razy dziwię się sam sobie, że nigdy żadna greszna chęć nie oderwie się we

mnie; czuję, że w tej chwili czuję się czyst-
szym, lepszym... Czy będę ja kochać?
Czy kochatem już kogo? Ludzkiem się
po tysiąc kroć razy, szalatem, płonąłem
namiętnością, ale nikogo nie kochatem!
Do niej należeć będzie moja pierwsza
miłość! Będę ja kochać, ile tylko będzie
w mej mocy; czuję nawet, że już ja ko-
cham. O, bo jeszcze nie kamasty we mnie
ucrucia ludzkie, abym mógł jej nie ko-
chać.

Helena.

Patrz pan, - oto ona: idzie czysta i
piękna, jak majowy poranek.

Scena XVII^{ta}

Ciri i Wanda.

Horski (zbliżając się do Wandy.)
O tak, - to jutrenka mojego nowego
życia, przedmiot mego zreszcia... Daj

mi swą rękę, Wandriu! Więc ty mnie
kochasz?

Wanda.

Pani powiedziałaś wszystko... ja prosi-
tam jeszcze...

Florski.

Ja takie cię kocham, Wandriu!
Powiedz mi, czy chcesz zostać moją?..

(Helena odchodzi w stronę ogrodu.)

Wanda.

Panie Juljanie, ja nie przypuszczam...
Mówiłam pani Łazkiej, że... nie myślałam
nigdy... nie spodziewałam się... ja nie je-
stem godną pana.

Florski.

Ty? ty? czyście, nieskalane dziewczę?
Ty nie jesteś mnie godną? To ja raczej
nie jestem godzien ciębie!

Wanda.

Paulie Juljanie!

Horski.

Jeśli nie lękasz się podzielić życia
z uzdrarzem, powiedz, a będę najscze-
śliwszym z ludzi.

Wanda.

Ja mam dla pana wielką sympa-
tyę, ale nie ró'w pan tego...

Horski.

Orego, Wandriu moja?

Wanda.

Nie żęi się se mną... Będę pana ra-
wse... całe życie kochać... ale czy
ja mogę...

Horski.

Aniele mój! Tyś lepszego losu
warta, niżli ja si kgotować mogę.

Scena XVIII^{ta}

Ciz, Majkowski i Parkosz.

46

Paskosz.

Ach, Juljanie, ciekawym i ciekawym!
Przeпадtes' nam, jak kamieć w wodę.

Horski (z zapatem.)

Owie, mój drogi, nie przeпадtem!
Przyruaje, bliżki już bytem tego, ale
teraz... teraz jestem uratowany - sty-
rysz - jestem uratowany. Przyjecha-
tes' w sam czas, na moje karczyny,
choć nie po to tu jechates'.

Majkowski.

Coś to znaczy?

Horski.

Nie winszujecie mi? mówię przecież
wyraźnie: żenię się.

Paskosz (oschle)

A żenisz się! winszuję! winszuję!

(Zastona spada)

Koniec aktu pierwszego.

Akt drugi.

Scena przedstawia pokój, przywóicie
choć skromnie umeblowany. Z boku
stół, nakryty do śniadania.

Scena I^{ta}

Obok stołu siedzą: Irena i Parkosz,
wchodzi Horszki.

Parkosz.

Testes' naręście. Porwolisz, że cię
przedstawię: pan Horszki.

Irena (wesoto.)

Poznanie pana sprawia mi wielką
przyjemność, z opowiadań znatan
go już oddawna. Mamy tyle wspól-
nych znajomych, tyle nastuchatan
cię o panu.

Horszki (obojście)

Mamy też wspólne interesy.

Irena (pomieszana.)

To prawda, ale niechże pan siada, -
trafites' wtasiwie na śniadanie.

Horski.

Pani wybacz, ale spieszę się - chciał-
bym tylko powiedzieć o interesie.

Trena.

Śniadanie temu nie przeszkodzi, sia-
daj więc pan. (Do Parkowca) Kolega
niekta?

Parkowc.

Muszę odejść na kwadrans, może na-
wet na pół godziny... (do Horskiego)
Spodriewam się, że cię tu zastanę.

Horski.

Wspię... zaraz odjeżdżam.

Parkowc.

Za kilka chwil będę państwu stwić.
Nie żegniam się: à tout à l'heure.
(wychodzi)

Scena II^{ga}

49

Trena i Kłowski.

Trena (mówi przez cały czas
szybko, z gorączkowym podrażnie-
niem.)

Czem chata bogata... Ja tu jestem,
jak w oborowisku podczas wyprawy
wojennej: co potrafię ugotować, tem mu-
szą się kontentować.

Kłowski.

Grigkuje:

Trena.

Ja takie dla towarzysstwa napiję się
panem herbaciany, - jeszcze nie jadłam
miadania... Ale napróżd po amerykań-
sku wypiję kieliszeczek, a może i dwa na-
wet... Napijess się pan nalewek, czy
wiśniówki? Zresztą wiśniówkę odłożymy
na później, a pierw napijmy się nalewek.
Nalewa? Coż pan tak na mnie patrzy?

ha, ha, ha! Boisz się? wyobrażasz sobie
pewnie, że cię chce spoić, aieby póź-
niej oszukać przy rachunkach, przygnaj
się, ha, ha, ha!...

Horvski.

Tak pani może coś podobnego mówić.

Trena.

Zapewniam, że masz pan taką minę.
Bądź spokojny - nie jestem przecież
tak straszna, i piję z takiego samego
kieliszka. Wierz pijmy! Na uroczenie
naszego pierwszego spotkania. (Trząca-
ja się.) Oby nie było ostatniem! (pije)
Mówię, że wódka nie powiunieszmy się
trzącać, ale to przesąd, ja zaś jestem
nieprzyjaciółką wszelkich przesądów.

Horvski.

Ja także byłem kiedyś nieprzyjacie-
lem ich.

Irena.

Byłeś pan... cóż to knaczy? czego do-
wodki? Zmienilesz się pan nagle, skąd
ta chmura na twarzy? A rozumiem -
kiedy ludzie knuszeni są oddawać pie-
niądze, kawosze się chmurzą...

Horski.

Nie należę do takich.

Irena.

To bardzo dobre, ja również. Z najrim-
niejszą kwia biogę i wracam... wszystko
dla mnie jedno... wybacz pan, muszę
wypić jeszcze kieliszek - to moja zwy-
kła porcja: chcesz pan dotrymać mi
towarzystwa. (ualewa.)

Horski.

Chętnie.

Irena.

Jest to trochę przywyciszenie, ale cóż

robić? nabratam go za granicą, jeśli =
drząc od stolicy do stolicy. (pije).

Upredkam pana, że o interesach nie
mam zamiaru dziś mówić.

Florski.

Przywrócić panu pieniądze.

Trena.

Nie, stanowczo nie... innym razem,
jutro, pojutrze może, tylko nie dziś.
Przecież miasteczko od pana niedaleko,
a ja jeszcze z Tydzień, a może i dłużej tu
kabawię. Na razie nie wiem nawet, gdzie
są weksle pana, nie uporządkowane
i nie obliczone... Jest to mata rzecz,
ale ja pana proszę; nie dziś. Dla ciebie
to wszystko jedno, a dziś, jeśli mam wy-
rucić prawdę, nie jestem usposobiona
do szukania weksli w papierach.

Zgoda?

Florski.

Niech i tak będzie, ale w takim ra-
rie...

Trena.

W takim razie bierz pan ten ośro-
kawałek mięsa... Sama pilnowałam, jak
go smażono w kuchni... Ale tu nic nie
śmieją... Ha, ha, ha! Pan patrzy na
mnie i myślisz sobie: ta kobieta, to
musi być strachraj, skupuje cudze rzeczy,
a mówi o swem usposobieniu - czy nie pra-
wda?

Florski.

Przypuścimy, że tak jest, choć tego nie
powiedziatem. Przyznaje, że...

Trena.

Ogaruła cię zdziwienie nadmierne...
Bierz pan musztardy, mam ulubioną.
Ta musztarda - to rdrajceyui: gdy

wermiesz ja do ust - smakuje, a potem
cate gardlo jak w ogniu, tak piecze.

Horski.

Pomiedzy pania i nia jest widać
wiele wspólnego.

Irena.

Bardzo wiele nawet: przy pomocy
mnie i jej ludzie robia ponętnie
te kaski, które chcą skosztować. Daj-
my jwi pokój musztardzie: ta oto
szklanecka miodu wywiera nia doda-
tuki roptyw. (nalewa) A pan nie pije?

Horski (nalewa)

Owsem, - ale boję się upić.

Irena.

Owsem? miodem?

Horski.

Nie miodem, ale rozmową z pania.

Irena.

A więc będę milcreć.

Horski.

O nie! mów pani, proszę...

Irena.

A choćbyś się pan nawet upił. coż w tem dziwnego? Pamiętasz, co mówi Boudelaire: „upijajcie się ciągle winem, haszyssem, muzyką, kobietą, czem chcecie, ale upijajcie się.” Tylko wtedy warto jest żyć na świecie...

Horski.

A ten odpoczynek, jaki koniecznym jest.

Irena.

Bożko nam dość czasu w grobie, wreszciej nie powinniśmy go próbować. Tędy tym względem zgodziam się z Bodelaire'm.

Horski.

Tędy kiedyś byłem jego ćwicicielem.

Trena.

Dawniej? Dla czego mówisz pan w cza-
sie przeszłym. A! wiem już teraz - Par-
koss mi mówił, że się pan żeni, że prze-
stoisz ratem wszystkie rachunki już
skończone, uleciata gdzieś w krajnie,
wspomnieć... Znam pana z opowiadań
tylko... Naturalnie żenisz się z miłości?
Powiedz pan, jak się to stało? Mówiono
mi, że naręczona pańska jest piękniejszą,
piękną jak niebianka.

Horski (z ożywieniem)

O tak, ona jest niebianką, a jednak po-
kochata mnie, syna siemi. Ja sam
nie mogę zrozumieć, jak się to stało,
czem zdobyłem sobie jej serce... Widz-
walimy się tak rzadko... Czasem tylko
znaleźliśmy się razem przy herbarie:
ona, stary jej ojciec i ja... Opowiadatem

im o mojem dawrem ryciu, o wszy-
 skich cierpieniach, jakie los mi
 rzucił, o wzrokomych powodzeniach,
 które mi nie oszukiwał, o tych bó-
 lach, jakimi mi nie dręczył i przesłado-
 wał na każdym kroku. I może te wła-
 nie opowiadania wlaty w jej serce
 nieco sympatyi dla biednego męż-
 czennika.

Trena.

Zapewne... pamiętasz pan „Otellu”
 scenę między Brabancyem, Desdemoną,
 i Otellem, pamiętasz pan jego słowa
 przed sądem: „Ona pokochata mnie
 za meki me i cierpienia, a ja ja
 za litosć i współczucie.”

Horski.

Tak — „ona pokochata mnie za meki
 me i cierpienia, a ja ja, za litosć”

i współczucie.

Trena.

Tylko ra współczucie! Dla mnie to
kamato. Walej mi pan jeszcze wina.
(Horski nalewa jej i sobie) Teraz sta-
ję się pan estowickiem familijnym:
otwiera się przed tobą ciche, spokojne
życie, przyjemna i pogodna starość.

Horski.

Czy jest w tem co stego?

Trena.

Bynajmniej - to piękne, idealne nawet
i wreszliwy ten, kto do tego zdolny,
w czujich żyłach nie krąży ta cygarska
krew, porządająca coraz to coś nowego,
nowego, wiecznie nowego, - jak we
linie naprzyktad. Ja nie mogę tak
żyć i być pan pewny, iż dla bezmyśl-
nego spokoju nie poświęcę mego wresz-

cia. Powtarzam jednak: wreszliwy, kto
może, niech nakłada na siebie każda-
ny Hymenu i grzeje się przy domowem
ognisku.

Florski.

Zdaje mi się, że mogę.

Trena.

A! to nie powinno się zdawać, to
jeszcze nie wystarczy, trzeba być
przekonanym, mieć pewność. Rzy-
kować można tylko życiem własnem,
a tu kawiarkuje się i życie drugiej isto-
ty. Zdaje mi się, że mogę przeptynąć
rzekę i płynę; jeśli utonę w potowie
drogi, jestem w takim razie występny
i odpowiedzialny przed moim sumie-
niem, ale nie odważę się przenieść na
bereg przeciwległy drugiej osoby, mając
kaledwie przorną, możliwość przeniesienia

jej, a nie pewność. Kiedy bytam pod-
łotkiem, zdawato mi się, że mogę być
i będę dobrą konna; wystam za matę
i ratulam życie racnemu i słache-
tnemu cztowickowi, kochajacemu
mnie do szaleństwa. Od tego czasu
nie daję nikomu żadnych zobowią-
zań i nie biorę ich na siebie... Jes-
li kto potrafi, niech wtoczy na mnie
jakikolwiek obowiązek, niech robi ze
mną, co chce, ale ja za nic nie wzię-
ję. Czy taka jest pańska natura?
Czy posiada tę moc? czy potra-
fi przerobić cię, zmienić?...

Horski.

Ja sam...

Irena.

Sam! Sam pan chce się przerodzić?
Nie, panie Tyljanie, wiele sty-

szatam o sobie i nie od jednego Parkosza... Mówiono mi o panu Jesse w Warszawie. Wiem, że stracił spadek po ojcu i przez lat kilka gęsto w błocie, a nikt ci nie podał ręki pomocy... Ale czy w tym czasie los ani raz nie uśmiechał się panu? Z pewnością nieraz ci się uśmiechał, ale nie zwracasz na te uśmiechy radziej uwagi. Czy chwytasz się ich pan jak kotwicy zbawienia? Przyznaj pan, że nie, a przeciwnie, berliśośnie odpychasz te uśmiechy losu od siebie i raczynasz znowu tonąć... Kiedy człowiek nie ma siły ani woli, a tylko raciektoś się w nim odrywa, co może on wówczas zrobić z sobą? Przeciście, jeżeli się dostanie pod wpływ innego mocniejszego charakteru człowieka i ten

kacnie kierować nim, lecz porosta-
wiony samemu sobie - musi utonąć.
I na tem jeszcze nie koniec: szczęście,
jeśli człowiek, który go opanuje lub któ-
remu się powierzy, jest racynym, a pre-
cież to tak rzadko się trafia, tak rzadko...

Horski (z nieufnością.)

Ale ja tyle naciępiatem się w życiu
i to mi doda siły. Całe życie przeszedł
obrytło mi, wstręt budzi...

Irena.

Zawsze budziło wstręt, a ponieważ to nie
mogłeś wybrnąć z niego - byto to le-
nistwo! Czyż ono i mnie także nie
spryskrytło się, nie obrytło? czyż i ja
niejednokrotnie nie próbowałam res-
wac' jeż jego? Czego się ^{tylko} chwycita-
nie mnie nie mogło rozpokoić...
Zawsze Anaba byto tego, na com ja

niezdolna - chęci do pracy. Takie pla-
ny, jakie projekty tworzyłam nieraz,
a w końcu znów wracałam do dawnego
trybu życia, gdzie chociaż dźwięki dri-
siejczy jest moim. To byto piśknych
prób i usitowań, a wszystko rozleciało
się jak proch i rozumiałam wreszcie,
że, jak mówi Walter:

Nous trompons dans nos entre-
prises,

C'est à qu'on nous sommes su-
jets,

Le matin je fais des projets

Et le long du jour - de sabbates!

Tan podobno jesteś poeta, więc pretto-
mack mi to wierszem.

Florski.

Ale paui-paui, kto jesteś?

Irena.

Kto jestem? A! Kto jestem? Tak się
panu zdaje? Lichwiarka, Kapitalist-
ka, pożyczająca na wielki procent,
lub skupująca za małe pieniądze
cudze weksle, aby potem, skorzystawszy
z nadatkowej sposobności, przycisnąć
nieszczęśliwego dłużnika i wyssać
od niego, lichwą raziognięty dług?
Kto jestem? Parkosz № 2! Dziewięć
kobieta czynu! Homunculus, który
zamiast serca, posiada jakąś mate-
matyczną sawadłość. Syrena, wa-
biąca tatwowiecznych młodzików, ażeby
pożniej bez litości ratować ich w odmę-
tach ryciowych.

Horski.

To fałsz! Panu nie jesteś takim...

Trena.

Masz pan stuskuosć - to fałsz...

Testem jakos' bardzo nieszczęśliwa,
 straconą na kawse istoty... Leczenie
 jestem w rzeczywistości? Dzieckiem,
 kucouem na pastwę losu w postaci
 mnóstwa guwernantek. Każda z
 nich, karząc mi się uczyć jednych i
 tych samych pisanych moralów,
 porwalała jednocześnie studiować
 i badać otaczającą mnie moralną
 równowagę. Moraty się nie przyjęły,
 a przykłady poskutkowały i oto re-
 sultat ich przed panem. Kolej mi
 pan jeszcze wina - i sobie. In vino
veritas! Patrz pan, przy sposobności
 mogę nawet wrócić tacińską cyta-
 tę, a to już przecie sbytek w wychowa-
 niu kobiety... Czemu spusćites' pan
 głowę?

Horski.

Mysle...

Trena.

Nie rób tego... trzeba żyć, a nie my-
śleć, bo to rzecz szkodliwa. Moja pra-
stunka dowodziła, że wszystkie cho-
roby pochodzą od nadmiaru myśli...
Boże mój drogi! Takie jestem dris-
kdenetwowana, a wszystkiemu je-
steś winien pan.

Horski.

Ta ?

Trena.

Tak, pan z tą posępna i wicernie
ponura twarzą. Zdricates, spozę-
pniates, a z tem ci bardzo do twarzy.
Postuchaj pan, nie tylko cioty i ude-
żenia losu, ale i śmierć sama, po-
winno się spodykać z dummem, wy-
rywajacem spojreniem. Są przecież
ludzie, u których ta duma jest wro-

druga nieważ... Ale co robić...

Le matin je fais des projets

Et le long du jour-des sabbats!

Zastates' mnie jaan drivijaj nieprzygo-
towana, w chwili, kiedy w duszy mej
kaczyna na nowo kipieć i burzyć
się głucho walka i chęć wolności,
jakiegokolwiek, ale tylko wolności, i swo-
body... W panu widzę brata, więc żal
mi cie...

Horski.

Zatujesz mi pani...

Trena.

I bardzo nawet. (pausa) Do piero
teraz widzę, że nie jadłam nic, a i
pan także...

Horski.

Dziękuję...

Trena.

Tja nie będę... Wyjdę na chwilę. Ka-
kę posprzątać. Taras wróć - zostai
pau tutaj, napijemy się jeszcze kawy.
(Spogląda w okno) Parkosz teri wraca.
Zaklinam cię, panie Juljanie, jeżeli
możesz tylko, uchódź od nas, jak
można najdalej uchódź, póki czas...
Parkoszowi powie, że unygam rę-
ce. (Wychodzi.)

Scena III^{cia}

Horski, później Parkosz.

Horski (stoi przez chwilę sa-
myślony, później bierze kapelus
i idzie ku drzwiom.)

Nie - „dla beznamiętnego spokoju
nie poświęcę mego szczęścia”.

Parkosz (wchodzi)

A widzisz, że zastatec cię jeszcze...
Cóż to znaczy: Atryman Kapelus

w rękę? chcesz odejść? Posiedź jeszcze
2 pół godziny... Coś ci taki skwaszony?
Gdzieś Trena?

Horski (do siebie)

A! Teraz rozumiem!

Parkosz.

Pytam się siebie, gdzie jest Trena?

Horski (rzucając kapelusz)

Ummywa ręce.

Parkosz.

Testesie już po śniadaniu? Uwi-
nchście się, rybko. Takie interesa?

Horski.

Takie interesa?

Parkosz.

Weksłowe.

Horski.

Nie wiem... to głupstwo... Coś zna-
czy jakiś tam weksel: kawatek pa-

pietu, na którym wypisano imię i
nazwisko...

Parkoss.

Cóś ty znów pleciesz?

Horski.

Potrafię cię nawet nastrawić, jeśli
rechcę.

Parkoss.

Co to ma znaczyć?

Horski.

Ja te wiesz zjadłem.

Parkoss (zdesiwiony)

Coo?

Horski.

No tak, zjadłem (nabawa wino).

Zjadłem i popiłem winem, jak te-
raz (pije)

Parkoss.

Widzę, żeś sobie pozwolił trochę ra

wiele...

Florski.

A wiesz, że nie były może tak wstępne
i nie smaczne, jak przypuszczatem: tro-
chę musztardy, miodu, wina i koniac!
Aha, ha, ha! Takis' ty prestraszony!
Tak ci żal tych weksli! A jak gorąco
bieresz do serca interesa swych klien-
tów! Uspokój się! nie zjadtem tych
weksli, takim paskudstwem nie rzygnę
się, pozostawiam to innym... Co to
ma sypodrywcać się od wina. Lawre
bytem zdania, że powinno się pić co-
dzień, a już raczatem się spreniewierać
tej zasadzie, chciałem ostrzeżić... "Le ma-
tin je fais des projets." (Sturaga wnosi
kawę.)

Tarkow.

Czarna kawa! Będzie pić?

Horski.

Poczekaj, zaraz przyjdzie gospodyni
i naleje nam. Z jej rączek kawa wyda
się nam smaczniejszą. (Chata za sceną.)

Parkosz.

Kogóż tam bogowie prowadzą?

Scena IV^{ta}

Cis, Jodłowski i hrabia Edward.

Hrabia Edward.

No i sprzeczać się jeszcze? Wiem
dobrze, co mówię, styśratem niczas.

Jodłowski.

Dajmy już temu pokój. (Witają się
w milczeniu)

Hr. Edward.

A pan Parkosz! Bon jour! panu
^{Horskiemu} hrabiemu moje uszanowanie! panu-
wie najlepiej osadzą. Mówię do Jodłow-
skiego, że wszyscy ludzie, którzy lubią

Konie, są rawsze gwałtowni, a on mó-
wi, że nieprawda. Tak panowie my-
ślicie, kto ma słuszość?

Horski.

Hrabia jesteś gwałtowny?

Hr. Edward.

Naturalnie.

Horski.

Lubisz hrabia konie? Sport?

Hr. Edward.

Przeпадam za siebie.

Horski.

A o co hrabiego?

Hr. Edward (nie wiedząc,
o co idzie)

Nie wiem.

Łodkowski.

Ha, ha, ha! Nie pytasz się ich! No
to idź spytać! ha, ha, ha!

Mr. Edward.

Po co? ja nie o tem mowitem, a tylko
swierdzitem, że ludzie, którzy...

Todtowski.

Dajże już raz pokój.

Mr. Edward.

Ale... (Todtowski macha ręką)
Gdzie nasza prymadonna?

Parkosz.

Zaraz nadzieje, - ożóż i ona.

Scena V.^{ta}

Ciz i Irena.

Irena.

Witam panów.

Mr. Edward.

Moje najniższe uszanowanie pani.
Rad jestem niewymownie, że ja widzę.

Irena.

Może panowie przekaszą cokolwiek.

Proszę bardzo - nie kępujcie się.

Mr. Edward.

Ja za wszystko dziękuje, chyba tylko filizianeskę kawę.

Irena (do Tódtowskiego)

A pan ?

Tódtowski.

Dziękuje uprzejmie. (Siada przy stole.)

Irena (rozlewa kawę.)

Mogę panu sturzyć, panie Juljanie ?
Co do kawy: koniak, czy likier ?

Horski.

Likier do kawy, a koniak przy kawie -
jeśli paui pozwoli.

Irena.

Wyboruie.

Mr. Edward.

Lada chwilę powiniem tu nadjechać
wóz z kwiatami. Dla pani ogotowitem

cały ogród z róz.

Trena.

Dziękuję hrabiemu serdecznie, ale już
tylko mam od niego kwiatów, że sama
nie wiem, co z nimi robić, gdzie je
umieścić.

Mr. Edward.

Znajdziemy na nie miejsce... umie-
ścimy je we wszystkich kątach, na
ganku, na oknie... Przy nas pani sama,
iż nie przyjemnym dla siebie byłoby
żyć bez kwiatów. Teżes' przywycza-
jona do nich, wszędzie ci one towarzyszą
na scenie i w życiu.

Trena.

Ta tu nie na długo. Moje skromne
mieszkanie wystarczy mi najzupeł-
niej.

Mr. Edward.

Nie wierzę temu. Wiem, że dla istoty,
posiadającej tak wytworne upodobania,
mięskanie to nie jest odpowiedniem. -

A teraz pozwoli paui, że raniusz do niej
gorącą prośbę: mam nadzieję, że paui
nie odmówi mi i przyjedzie jutro do Ze-
lowa na bal. Jutro imieniny babki.

Trena

To niemożliwe.

Mr. Edward.

Dla czego?

Trena.

To pierwsze - nie mam przyjemności
znać babki hrabięgo...

Mr. Edward.

To nie nie szkodzi... Ja już wspomina-
łem o paui, a jak jutro przyjedzie do
kościółka, paui też przyjedzie i przedstawię
ją... Babka z pewnością kaprości panią;

Irena.

Nie! to niemożliwe, niech hrabia
lepiej nie prosi. Nie mam kreśta
odpowiedniej toalety.

Hr. Edward.

To sbykessne... Nie będzie to bal w iei-
stem tego słowa znaczeniu, ale rwy-
czajnie przyjęcie... Moje pani przyje-
chać odraru, a ja już na miejscu przed-
stawię panią babce... Ucieszy się
ogromnie...

Irena.

Nie nalegaj, hrabio, bo nie nie wskó-
rasz... Powiedziała, że nie może, więc
reecz skóńczona, nie mamy o csem mó-
wić dłużej.

Hr. Edward.

Przyprowadź mi pani do rozpaczy
Co ja teraz pocznę? Ale kaponniatemu

panią uprzedzić o niespodziance, jaką
jej przygotowatem. Todłowski mówi, że
pani lubi jeździć konno, więc karatem
przyprowadzić konia...

Trena.

Lubię jeździć, ale zdaje mi się, że hra-
bia radaleko posuwa swą uprzejmość
dla mnie.

Mr. Edward.

! Gdyby nie babka, oddałbym pani
wszystko, wszystko bym dla niej zrobił...

Horski.

Ja myślę, że gdyby nie babka, to hrabia
nic by zrobić nie mógł.

Mr. Edward.

Dla czego?

Horski.

Bo hrabia nie ma nic, a wszystko
jest własnością babki.

Hr. Edward.

Zdaje się, że i pan nic masz nie, a
to, co ci się dostato, odebrates' w spadku.

Parkosz.

Ocho!

Horski (do Parkosza.)

Co ma znaczyć pauskie: „ocho”? Hra-
bia ma stusruoš - jemu daje babka,
minie spadek zostawit stryj! Własne-
go majątku nie ma żaden z nas.
Nie wiem, jakbyś odpowiedział, gdybym
cię zapytał, czy wszystko, co masz, jest
twoje?

Parkosz.

Tak to mam rozumieć?

Horski.

Takim głosem kawotates „ocho”, jakbyś
mi chciał kucić obelgę w osy, że nie
mam nie.

Parkosz.

Zaczyna się widocznie przyce-
piać do mnie.

Horski.

Przycepiać? do ciebie? Miałbym
też do kogo? (Wchodzi Majkowski.)

Scena VI^{ta}

Ciz i Majkowski.

Horski.

O! do hrabiego mogłbym się przy-
cepić, bo on, gdyby nie kwalifikował
na odpowiedź, to potrafił by mnie poia-
gnąć do rozprawy innej. A ty tego pro-
bić nie możesz i nie zrobilibys'...

Parkosz.

Bo to gł^ustwo.

Horski.

Kończyć zaś rozprawę w sądzie nie
mam najmniejszej chęci, bo nie jestem

do tego przywycajony. Dla tego też o ja-
kiejkolwiek racie z mej strony nie
ma nawet mowy. - Tylko nie krzyk
głośno „ocho”, bo to nieprzywoicie. - A za-
tem hrabia stwierdzi, że kto jest amato-
rem koni, ten koniecznie musi być gwał-
townym.

Hr. Edward.

Jest to fakt, oddawna stwierdzony.

Horski.

Zupełnie zgodzam się z habią w tym
względzie... Hrabia musiśz lubić konie,
a parkoss ich nie lubi... O! Majkow-
ski to prawdziwy znawca i amator
koni...

Majkowski.

Pochlebiam sobie, iż w tej specjalności
nawet kto mi dorównać potrafi.

Horski.

Dobrat mi taką parę kasztanków...
Czegoś się tak rawstydriles? przecież
nie powiem jaką.

Majkowski.

Larty sobie stroisz.

Horski.

Ha, ha, ha! Mogę pania poprosić
jeszcze o jeden kieliszek?

Trena.

Chętnie - ja takie się napiję.

Parosz (do Trena.)

Trena?

Trena (z quiewem.)

Czego? (Rusza ramionami.)

Horski (podochocony.)

Kieliszeczek! Wicie panowie, że
w tem stowie spocrywa jakiś fatalizm.
Od pewnego czasu nie mogę powiedzieć
„kieliszek”, tylko „kieliszeczek”. A ty, Par-

Kosz, prosisz o kieliszek, czy o kieliszek?
Zresztą ty nie prosisz, a bierz sam bez pytania... Majkowski
kawosze mówi zdrobniiale. Powiedz mi, dla czego tak mówisz?

Majkowski.

Sam nie wiem - jakos' przyjemniej
brzmi to slowo w ustach.

Horski.

Styskycie, panowie, Majkowski zwraca
uwage na wykwinatosc' formy!
Jodtowski naturalnie kawosze nigdy
catej sklaniki, a hrabia?

Hr. Edward.

Ja proszę zwykłe o butelkę.

Horski.

Bravo! bravo! Wedle stawu grobla!
A ja mówię swycrajnie kieliszek,
ale mówię często. Pamiętasz Parkosz,

coś mi mówił wczoraj: wiele ci nie dawano, ale za to brates' często... Coś ja temu winięu, że mi nie dawano odraru wiele? Dla tego też proszę o je-ese jeden kieliszek...

Tarkosz.

Dopiero pites'? Chcesz się upić chyba?

Horski.

Tak, chcę się upić, bo in vino veritas.

A sobie kardosć, że nie możesz się upić! Takie mi cię żal, że masz taką twardą głowę i nigdy nie tracisz przytomności... Słuchaj: myśleć wiele to rzecz szkodliwa, a wszystkie choroby pochodzą z nadmiaru myśli. Nieprawdaż panu?

Trena.

Zdaje się, że najstraszniej cierpimy wtedy, gdy głowa nam ciąży...

Horski.

Serca! jak naprzecj serca! „niejmy
serce i patkmy w serce” - jak powiedziat
poeta, rzyjmy i kierujmy się tylko
sercem. Kto ma rozum, niech z niego
korysta, ale niech rzyje tylko sercem.

Tarkosz.

Lacrymass sobie przesyci! Dopiero
co napadates' na tych, co się kieruja
jedynie rozumem, a znów usprawiedli-
wiass ich i kazess im korystać z
niego.

Korski.

Dla tego, mój drogi, nie głowa jest nie
rawsze siedribą rozumu; bardzo często
jego miejsce zajmuje kwycrajny spryt
lub doświadczenie, które jest rozumem
głupców... Ale po co my o tem mówimy.
Chciatem powiedzieć: rzyjmy w serce,
otwarcie, jak rzyje przystoi.

Trena.

Więc rzyjmy tak - rawsze wrzesze i otwar-
cie!

Parowski.

Chciałbym zobaczyć, co takie życie
warte, jak wygląda?

Florski.

Toś jeszcze nie widział? To dziwne...
a ja myślę, że się to często zdarza,
bo inne życie prowadzi tylko albo głupcy,
albo zbrodniarze.

Majkowski.

Występujes już z filozofią! Dajbyś jej
raz spokój.

Florski.

Mass stusności - więc przez z filo-
zofią, matematyką i innymi nau-
kami! W życiu jest tyle pięknych
rzeczy! Na przykład, co może być piękniej-

szęgo na świecie od naszej uroczej
gospodyni?

Mr. Edward.

W zupełności podriklam to preko-
nanie.

Parkosz (do Trena.)

Ależ on staje się być nieprzyzwoitym.

Trena.

Nie widzę tego.

Parkosz.

To co porwałass mu tyle pić?

Trena.

Niech pije, to mu nie zaszkodzi.

Parkosz.

Pamiętaj, że ja umyłam ręce od
wszystkiego.

Trena.

Ja już je umyłam. (Głosno) Zapomnia-
teś o swym kieliszku, panie Juljanie.

Horski.

Czy ja mogę zapomnieć o Senu, gdzie
leży moje zapomnienie. Nie wiem doład,
czy porwałem paui, dris', czy też znam cię
oddawna! Zdaje mi się wszakże, że
znam cię oddawna! Przebac mi paui,
jeśli nie rachowuję się, jak nalezy, lecz...

Majkowski (po porocumieniu
sichem k iunymi)

Mamy prośbę do paui: czy korzystając
z wolnego czasu, nie darto by się urządzić
partyki?

Trena

Róbcie paucowie, co wam się podoba.

Jodłowski.

W imieniu wszystkich driskuje Serdecznie.

Hr. Edward.

Paui pozwoli kagrać na jej szczęście?

Trena.

Nie radzę, jestem bardzo nieszczyliwa w grę.

Horski.

W takim razie pozwoli mi się pani wyreczyć, ja także jestem nieszczyliwy, a minus na minus daje plus.

Irena.

Pan także chce grać?

Horski.

Jeśli pani przeciwna jest temu - nie będę.

Irena (po krótkim wahaniu.)

Owszem, graj pan, jeśli chcesz.

Horski.

Kto raczy na?

Majkowski.

Gramy w sztos.

Horski.

Precież nie w preferansa grać będziemy.

Kto raczyzna ?

(Zaczynają grać, wchodzi Tuiaca
i mówi coś po cichu do Parkosa.)

Parkos.

Tuljanie! przyjechał po ciebie Łacki.

Horski.

A Łacki? Niech raczeka...

Parkos.

Powinieneś jechać do domu.

Horski.

Kto ci to powiedział ?

Parkos.

Taka moja rada.

Trena.

Mógłbyś pan w spokoju zostawić mo-
ich gości. Pan Horski sam wie naj-
lepiej, co ma robić. Jeśli upodobał so-
bie mój dom i rad w nim pozostać,
cieszy mnie to niewymownie.

Parkosz.

Powtarzam ci raz jeszcze, że musisz, że powinienes' stąd odjechać.

Horski (oglądając się na niego.)

Co? ty mi przypominasz, co ja mam robić! A! Czy chcesz, żebyś mi przypomniał, jakim sposobem wpadłem w długi? Stuchajcie panowie: ten oto jegomość...

Parkosz.

Jestes' zupełnie pijany.

Horski.

Tak - jestem pijany i szczerzę się temu. - Wolno mi się upić, nikt mi tego nie zabroni! Kogo się mam bać? Nie stracę na tem nic, bo nie mam nic do stracenia, wszystko oddawna stracone. Piję, aby nie wiedzieć nic, aby zapomnieć wszystko... wszystko... Ale na nieścisłość wszystko jeszcze pamiętam.

Pamiętam i to nawet, że kiedyś i ty pi-
 ąs' razem ze mną... Teraz musisz się
 e mną napić... stysryr, ja tego rządau!
 Piliśmy kiedyś na uxczenie naszej
 przyjaźni, piliśmy na „ty”. Pamiętaj, że
 w jakich to było okolicznościach, a teraz
 i a muszę się z toba napić na „pan”, rząd-
 „dam tego. Sam chcę ci rosviazać ręce...

Parkosz.

Tuljanie! na Boga! uspokój się.

Horski.

Prez! - pami jestem twoim gościem i
 jeśli uwazasz, iż staje się nieprzyzwoitym,
 powiedz, a odejde...

Trena.

Porostau' pan, niech odejda, raczej ci, któ-
 ry w mym domu wywołują kłótnie.

Horski.

O driskuje ci pami.

Parkosz.

Odchodzę ratem.

Irena.

Nie zatrzymuję pana.

Horski.

Bądź zdów Parkosz, a nie zapomnij
potwierdzić Łaskiemu, aby nie czekał
na mnie, j'z już, j'z resztę! Cregozi ociąż-
gar się Todtowski, ciągnij dalej, ja
stawiam na damę pikową...

Lastona spada.

Koniec aktu drugiego.

Akt trzeci.

Scena przedstawia ogród przed pałacem księżnej, babki hrabiego Edwarda.
Z jednej strony wysoki taras. Wieczór.

Scena I^{ka}

Majkowski i Parkosz.

Majkowski (ciągąc opowiadanie)

Takiej pau odśredź, raczliśmyna dobre
 szłosa, później baccara... Jodłowski
 szymat bank.

Parkosz.

Coż dalej.

Majkowski.

Horski raczłt się goraczkować, kucaci,
 ale Treua go powstrzymywata.

Parkosz.

Przegrywał.

Majkowski.

Ciggle... Ona go mitygowata, a gdy to

nie pomagato, udata, że jej niedobrze.
Musielimy przerwać grę.

Parkosz.

Wszyscy ?

Majkowski.

Wszyscy. Horszki z nami wyszedł. Przy
pożegnaniu radził mi, aby jechał
do domu, on nawet przyrzekł, że tak
robi, ale Jodtowski kabrał nas wszy-
stkich par force do siebie na obiad.
Po obiedzie przyjechano do niego kilku
sasiadów: Kuleczycki z Dolina, Fi-
szet, Tabtocki, znówu rozłożono stoli-
ki, zaczęliśmy baccara, później przes-
liśmy do szosa. Tym razem bez
przeszkody graliśmy w najlepsze do
samego rana. Później hrabiego Edwarda
odwiozłem do domu, zgrał się bieda-
cysko porządnie... Horszki został u Jo-

Towskiego, aby odpocząć. Podobno jeszcze
niego siedzi.

Parkosz.

Któż przegrał?

Majkowski.

^{owski} ~~lewyk~~ wszystko, bo też gorączkuje się
roznamiętania w grze... Hrabia Edwardek
jakie sporo bekują.

Parkosz.

Horski dużo przegrał?

Majkowski.

O bardzo dużo.

Parkosz.

Tęż w przybliżeniu?

Majkowski.

Co tylko miał z sobą, wszystko stracił,
a i sporo jeszcze winien został.

Parkosz.

Komu?

Majkowski.
Zablockiemu, Todtowskiemu i mnie.
Parkosz.

A!

Majkowski.
Wszystko prawie wygrał zablocki, bo
on później zajął bank. Fenome-
nalne szczęście ma ten cztowick... Hor-
skiego to doprawdy żal mi było... sam
go przestrzegatem.

Parkosz.

Tau?

Majkowski.
Jaremnie. Nie chciałem ani słuchać,
taki z niego zapalenie!

Parkosz.

Nie nie szkodzi - teraz ostygnie.

Majkowski.
Bzdurze musiał.

(Wchodzi Maliniewicsowa z cótką.)

Scena 11^{ga}

Ciri, Maliniewicsowa i Zofja.

Maliniewicsowa.

Pan Parkosz jest! jakie się cieszę.

Parkosz.

Testem uszczęśliwioną, że panią tutaj
widzę.

Maliniewicsowa.

Tutaj zwykle spotkać można wszyst-
kich znajomych z całej okolicy. Wyo-
braćie sobie państwo, narzeczoną
Horskiego także przyjechała, ale o nar-
czonym ani słychać.

Parkosz.

Znajdzie się.

Maliniewicsowa.

Sądźcie pan, że przyjdzie... Boże drogi,
co też to za matreństwo! to meralians!

Bydź co bydź on szlachcic, przystojny
i edukacyę ma! głowę daje, że to sprawa
ka Łąckich, ale doprawdy nie rozumie
dla czego to robią? Tak pan sądzi
może on się jeszcze rozmyśli?

Partosk.

Nie mogę pania objaśnić w tym wzglę-
dzie.

Maliniewicza.

Strkoda, bo z niego wcale odpowiednio
i przywoita partya. Nie wieś pan,
prędko rozpoczują się tańce?

Kajkowski.

Niedługo, niedługo rozpoczują się. Podobno
niektóre osoby już od tygodnia do nich
się szycują.

Maliniewicza.

Cóż to znaczy? Zaczynasz karty sobie
stroić, to wcale ci nie przystoi. Zostaw

ty lepiej idź do salonu - pewnie zaraz
się bal rozpocznie. Z kim tańczysz pier-
wszego kadryla?

Zofja.

Drugiego z hrabią Edwardem, a do
pierwszego nie mam jeszcze tancerka.

Maliniewiczowa.

A ty, panie Karolu, z kim tańczysz
pierwszego kadryla?

Majkowski.

Z nikim...

Maliniewiczowa (zmieszana)

Alm...

Majkowski (do Zofji)

A zatem mogę paui słuszyć do pierwszego.

Zofja

Chętnie...

Maliniewiczowa.

Wszystko w porządku, a ze mną, panie

Karolu, bédricu tańcyst drugiego.
Majkowski.

Tylko z pania, bo zwykłe nie tańczę wiele.
Maliniewicza.

Idź, moja Łosiu, do salonu. Pan Karol
cię poprowadzi.

Majkowski.
Chciałbym...

Maliniewicza.
Jesteś pan niemożliwy ze swojemi
grymasami i kaprydami... Podaj
rękę Łosi.

Majkowski (z westchnieniem.)
Na co mi to wszystko.

(Podaje ramię Łosji i wychodzi.)

Scena III.

Maliniewicza i parkosz.

Maliniewicza.

A pan dokąd ucieka? Załóż się

chwilkę.

Parkosz.

Czem mogę służyć?

Maliniewicza.

Chciałam posiedzieć trochę z panem,
porozmawiać. Taki dziś mamy cudo-
wny wieczór.

Parkosz.

Bardzo ładny.

Maliniewicza (rozmarzona).

W powietrzu tak cicho, spokojnie, wy-
skro daje się usposabiać do poezji...
Pan jesteś poezją?

Parkosz (= uśmiechem)

Trochę.

Maliniewicza.

Odraru domyśliłam się i cięsy mnie
to niewymownie. Utoż mi pan coś
ex-promptu.

Parkosz.

Co pani kaze? na jaki temat?

Maliniewicsowa.

Porostawiam wolny wybor. Ale powiedz mi pan, dla czego sie nie keniise?

Parkosz.

Czy na ten temat mam utosyc ex-promptu?

Maliniewicsowa.

Tylko tak z kobiecij ciekawosci pytam je... Coz moze byc lepszego, przyjemniejszego nad ciche rodzinne zycie?

Pański przyjaciel Hlowski keni sie, powinienes i pan pojsc w jego slady...

Naturalnie, nie nalezy sie kenic tak, jak on, a trzeba uczynic wybor odpowiedni, wybrac koscie rownego sobie stanowiska...

Parkosz.

Parkosz (tym samym tonem.)

No i wieku.

Maliniewicza.

A co pan myśli? Niektóre...

Parkosz.

Chcesz pani, a narysuję ci mój ideał?

Maliniewicza.

Stucham.

Parkosz.

To pierwsze musi być wdowa, gdyż tyl-
ko wdowa może trafnie ocenić swego
drugiego męża, porównując go z pier-
wszym; pierwsi mężowie zwykle się
nie udają;

Maliniewicza.

Pravda! Coż dalej?

Parkosz.

To drugie musi być w jednym wieku,
a choćby o kilka lat starsza odemnie

aby mogła mnie kierować, dawać rady,
strzedz od pokus i namiętności...

Maliniewiczowa.

Cóż jeszcze?

Parkosz.

Gdybyś pawi wiedziata, z jaką niecier-
pliwością szukatem takiej kobiety?

Maliniewiczowa.

I znalazłeś...?

Parkosz.

To bardzo długiem szukaniem.

Maliniewiczowa.

Gdzież ona? Któż to taki?

Parkosz.

Moja żona.

Maliniewiczowa.

Coo?

Parkosz.

Moja żona, gdyś szukatem, znalazłem

i ożwiitem się.

Maliniewicza.

Więc pan jesteś żonaty ?

Parkosz.

Oddawna już nieśledy.

Maliniewicza. (wzburzona.)

Dla czegoś mi pan wcześniej o tem nie powiedział ?

Parkosz.

Nie pytałas mnie o to pani.

Maliniewicza.

Chcesz sobie zażartować ze mnie ?

Parkosz.

Mówię szczerą prawdę.

Maliniewicza.

A ja myślałam...

Parkosz.

Że jestem kawalerem... I mnie czasami tak się zdaje, lecz pasport wypro-

wadka mnie rownie e bledu. Wybacz
pani teraz, ze ja opuszczę, pragnalbym
powitać panią domu.

Maliniewiczowa.

Proszę - nie kłopotuj się pan.

Tarkosz.

Chociaż nie jestem biegłym w układaniu
wierszy, ale przyszedł mi właśnie jeden
na myśl:

Wszak o pani: zerukał jest laki

Ze zionaty nie wart i wiucha labaki...

Moje najpiwsze uszanowanie! (Kłania
się i wychodzi)

Scena IV^{ta}

Maliniewiczowa, Helena, Wanda
i Laki.

Maliniewiczowa.

A! do czego to podobne! (chwytła się
za głowę.) Wyobraź sobie pani: on

sonady!

Helena.

Kto?

Maliniewicsowa.

No ten parkosz! Tak mógł Majkowski nie uprzedzić mnie o tem.

Helena.

Nie wiedział pewnie.

Maliniewicsowa.

Kto? on nie wiedział? Powinien być wiedzieć! Wszystkich wokół na kilka mil zna... Co ja teraz pocznę; Horzki się pieni, parkosz sonady... Nie! tego darować nie mogę... I ja mu jeszcze kadryla przyrektałam... Nie ujdzie Majkowski mej kary!... (Wychodzi.)

Scena V^{ta}

Łącki, Helena i Wanda.

Co jej się stało? Łącki.

Helena.

Sowiedziata się, że Parkow konaty i to już doprowadzito do rozpaczy.

Lacki.

A to pocieskna historya! Biedna niewiasta! jakie jej gwałtownie chce się wyjść ra mazi... Jakoś naszego Juljana nie widać.

Helena.

Ola czego nie zobaczytes' się z nim wesełniej, trzeba było uprzedzić go.

Lacki.

Miałem chodzić do niernawego mi domu?

Helena.

Są czasami wypadki, kiedy na takie rzeczy nie zwraca się uwagi.

Lacki.

Kiedy można nie rachowywać wymagań

przyzwyczajeni i dobrego wychowania!
 Nie sądzę! A! Dziśki Bogu, jest uroc-
 znie.

Helena.

Przyjechał?

Łęcki.

Łdzie tutaj. (Wchodzi Hórski i Jodłowski.)

Hórski.

Ty tu jesteś?

Łęcki.

Dziwi cię to?

Hórski.

Zkądże? Witam panią! Tak się masz
 Wandziu! Nie spodziewałem cię spot-
 kać w tym domu.

Wanda.

Nie chciałam, ale pani Łęcka przyje-
 chała po mnie i namówiła.

Helena.

Pytam pewna, że Waudria zabawia się
tu dobrze, księżna ją zna i bardzo lubi.

Horski.

Wyboruic' panu probita.

Helena.

Jestes' panu ogromnie blady? a moze
tylko mnie je tak zdaje?

Horski.

Byc' moze, że jestem blady... cierpiatem
wczoraj na ból głowy.

Helena.

Co panu jest?

Wanda.

Przebieles' się panu?

Horski.

Nie! inna przyczyna! - byłem wczoraj
pijany, upilem się.

Lęcki.

I nie wstydzisz się tego?

Horski.

Czego się mam wstydzic?

Łacki.

Jakie by dris' wyglądasz?

Horski.

Trudno! ratować bytoby za późno, a teraz nie mam nigdy swycoraju ratować tego, co się stało. Dnia wczorajszego nie da się cofnąć.

Jodtowski.

Ja idę do salonu.

Horski.

W tej chwili przyjdę za tobą.

Jodtowski.

Osekam cię... (wychodzi.)

Scena VII^{ma}

Cis bez Jodtowskiego.

Łacki.

Je tym już w takiej przyjaźni.

Korski.

Cóż cię to obchodzi?

Łącki.

Ładnieś' sobie dobraż towarzystwo, nie-
ma co mówić.

Korski.

Dla siebie możesz dobrać przyjaciół,
jakich chcesz, ale dla mnie jest ten
przyjacielem, u którego się bawię weselo
i zapominam o wszystkim... Moja
droga Wandeczka musiata być bardzo
niepokojną o mnie?

Wanda.

Wczoraj było takie wilgotne powietrze.

Korski.

Strasznie kawiritem przed sobą, moja
Wandziu, ale ty mi wybaczysz.

Wanda.

Nie rozumiem pana.

Horski.

Wina moja jest wielka, tak wielka;
że trudno ją wybaczyć, a nawet nie po-
winno się jej wybaczyć.

Wanda.

Co się pan mówi?

Łącki.

Grates' wczoraj w karty.

Horski.

Gratem.

Łącki.

Inegrates' naturalnie.

Horski.

Inegratem.

Łącki.

Dużo?

Horski.

Wszystko.

Łącki.

Jakto: wszystko?

Korski.

Mówię wyraźnie: wszystko!

Łacki.

Jak mogłeś coś podobnego zrobić?

Korski.

Karty mi jakoś nie szły.

Łacki.

To szaleństwo!

Korski.

Powiedz: niepowodzenie, nieszczęście.

Łacki.

Na coś by liczyć?

Korski.

Na wygraną.

Łacki.

Nie o tem mówię: ... Wiedziates' przecie,
że pieniądze, które masz, są ostatecznie
mi, że nie będziesz miał skąd wziąć
ich więcej, że pan Zabielski odda ci
resztę.

Korski.

Przebrau, Józefie, nie przyszedłem prosić
cię o pożyczkę.

Łycki.

Bo ja też, mój drogi, rzucać na wiatr
pieniędzy nie mogę, mam rodzinę, dzie-
ci. Rachować na mnie nie powinie-
nos', sam ledwie koniec z końcem wiązę.

Korski.

Nie masz się czego obawiać! Ja zawi-
nitem, więc i ja pokutować będę. Zawi-
nitem tylko wobec jednej Wandri.

Wanda.

Ja panną kradnych wykradów nie robię.

Korski.

Wobec ciebie, Wandriu, zawińitem bar-
dzo. Coś robić, taka już moja natura, je-
stem estowickiem, na którego nigdy liczyć
nie można.

Laski.

Żrówny doprawdy z ciebie cztowick!
nabrois, a pózniej sam się oskarza i
zdaje mu się...

Horski.

So pietwse, nie zdaje mi się, a podrugie..

(wbiega hr. Edward)

Scena VIII^{ma}

Ciz i hrabia Edward.

Hr. Edward.

Witam pana Horskigo... Wiers, przy
jechała! Biegnę na jej spotkanie!
Przyjechała!

Horski.

Kto przyjechał?

Hr. Edward.

Ona! Treua! (wybiega.)

Scena IX^{ta}

Ciz bez hr. Edwarda.

Storski.

Oua tutaj? Nigdy nie spoziewatem jiz.

Lacki.

To u niej wczoraj tak tadnieś się urzą-
dzit?

Storski (gwaltownie.)

Józefie! nie masz prawa kontrolować
moich czynności.

Lacki.

Nie unos' jiz rzytecznie! Od tej chwili
o nic więcej pytać się nie będę.

Storski.

Proszę cię o to...

(Wchodzi Irena z hr. Edwardem pod rękę.)

Scena I^{ta}

Ciz, Irena i hr. Edward.

Hr. Edward.

Tędy, tędy niech panu będzie taskawa.
Jakże rad jestem, że przybytas' pani...

Muszę państwo zapoznać: państwo
Lacy.

Irena.

Bardzo mi przyjemnie. (do Horskiego.)
Jak się masz, panie Juljanie?

Horski.

Jestem zdziwiony.

Mr. Edward.

Panna Walerja Zabielska, narzeczona
pana Juljana.

Irena.

Sprawia mi wielkie radość wie-
dzenie pani.

Horski.

Hrabia się pomylił: mojej narzeczonej
Wanda, a nie Walerja.

Mr. Edward.

Najmocniej przepraszam, pomieszało
mi się w głowie.

Wanda.

Ale ja się nie quiewam.

Hr. Edward (do Irena)

Znalesś stów nie mogę, aby wyrzucić
mą radość, aby ci podziękować za tę
niespodziankę, którą mi sprawiłaś...

Irena.

Przyrzuję, że nie miałam zamiaru
być tu dziś, a jakim sposobem się to sta-
ło, że przyjechałam, nie byłabym w stanie
wyłtomaczyć.

Hr. Edward.

Jednem słowem, zrobiłaś pani świetnie
i raz jeszcze przyjmij moje podziękowanie...

Irena.

Arabia mówi, że to będzie zwykłe
zebranie, a tu widzę, że zanosi się na
bal w całym tego słowa znaczeniu.

Hr. Edward.

Porwól pani do salonu, a porwam ją
z babką... Teraz rozpoczną się tańce.
Panie Horski, proszę z nami! Będzie
pewnie tańczyć z panią Trenerką...

Horski.

Idę, ale mam już damę. Stwórci, Wan-
driu! (podaje jej ramię.)

Wanda (po cichu.)

Ja walczyć nie umiem.

Horski.

Spróbujemy...

(Hrabia Edward, Horski, Wanda
i Trenerka wychodzą.)

Scena XI^{ta}

Łącki i Helena.

Łącki.

Hrabiaśko straciło głowę zupełnie.

Helena.

Jaka ona piękna.

Łącki.

Dobrze też wymalowana.

Helena.

Pomimo to kobieta rzadkiej piękności.
Stuchaj, Józefie, Horszkiego musimy uratować.
Zapłać za niego ten dług.

(Za sceną zacyniają grać walca.)

Łącki.

Nie wiem sama, co mówisz! Stać za niego dług, to wszystko jedno, co rzucać pieniądze w błoto, lub bezdenną beczkę... Dziś się zapłaci, a jutro nowych narobi.

Helena.

Jak się oieni z wandrią, to się usatkuje.

Łącki.

Na dwa miesiące... znam go dobrze.
A wreszcie skądże wezmę pieniędzy?
Wiem, że nie jesteśmy bogaczami...

Helena.

Masz teraz pieniądze.

Łącki.

Mam, ale to nie moje, a dzieci narzyły
i nigdy nie zdecyduję się ich naruszyć,
bo nie mam na to prawa.

Helena.

Mogą mu sprzedać majątek.

Łącki.

I sprzedadzą.

Helena.

Gdzieś się wtedy podzieje? Ma iść
w świat, kębrać?

Łącki.

Jeśli chce pracować, dostanie zajęcie
łatwo, a przy jego zdolnościach będzie
mógł nawet porobić oszczędności.

Helena.

Jak możesz tak obojętnie o tem mówić...

Łucki.

Drwię się twojej niepotrzebnej egoista
troskliwości. Zapominasz, że jesteś
matką, masz dzieci i to powinnaś
mieć na względzie.

Helena.

Czyż mogę być obojętną, kiedy widzę,
że ginie człowiek? Nie zwrócites wido-
cznie uwagi, jak on wygląda... W je-
go twarzy jest coś strasznego, przeraża-
jącego... On może na wszystko się
odważyć.

Łucki.

Łdaje ci się, że gotów się kastrzeć!
Uspokój się: tacy nie odbierają sobie
życia, nie mają na to siły.

Helena.

Nie raz mówites, że jesteś jego najlep-
szym przyjacielem, a tak obojętnie traktu-

jest jego życie...

Łącki.

Coś mam dla niego zrobić? porzucić
me dzieci ciężko rozwiniętego gro-
sra i dla tego tylko, aby miał możliwość
grania dalej z takimi Majkowskimi,
lub Parkoskami, albo upijać się z aktor-
kami! Skoro umie tracić, powinien
umieć zarabiać! Niech pracuje teraz
w poczcie czoła.

Helena.

Co się teraz z Wandrą stanie?

Łącki.

Co się stanie? Bez wątpienia byłoby le-
piej, gdyby wyszła za Walickiego. Ma
przynajmniej stanowisko, a przy tem czo-
wiek pracowity i energiczny! Z tym
naciępi się tylko biedy i nagłodzi...

Helena.

Przesadzasz! Do biedy jeszcze daleko...

Laczi.

Mam rozpaczać? Włosy może rwać sobie z głowy?

Helena.

Nie wiem, abyś mówił na serio... Ja cię -
bie proszę... weź odemnie wszystko, co po-
siadam z Kosztowności, ograniczmy wydat-
ki, a w lat kilka wybierzemy się do Anglii... Speł-
nimy dobry uczynek, pozwolimy mu znów
stać na nogi... Nie wątpię, że odda
wszystko.

Laczi.

Mówisz, jak dziecko... Powiedz, skąd
wezmę? w czym możemy się ograniczyć?
Nie prowadzimy wcale życia wykwintne-
go... Nie mówmy przesadę o tem; jeszcze
resztą racem, kiedy mnie prosisz o pożycz-
kę, powiedziałem mu, że to kropla w morze...

Przekonałaś się, że miałem słusność...
Helena.

Nie sądziłmy go, nie potępiajmy, a pomóżmy raczej... Dzieci nasze są jeszcze małe, a jeśli zrobimy dobry uczynek i uratujemy człowieka, - Bóg nam to wynagrodzi stokrotnie.

Łącki.

Nie będę już dłużej z tobą mówić o tem... Wiesz chyba dobrze, że nie rucam słów na wiatr i skoro raz powiedziałem, że nie, to zrobiłem to po głębokim namyśle.

Helena.

Jożefie!

Łącki.

Dosyć już! Nie robisz tego.

Helena.

Bóg niech ci będzie świadkiem...

Łąki.

Nie zapominaj, że najpierw nas będzie sędzić nasze dzieci. Gdzie idiesz?

Helena.

Do Wandri.

Łąki

Czekaj - pojedziemy razem.

Helena.

Jak chcesz...

Łąki.

Powtarzam ci, Heleno... (wychodzą.)

Scena XII^{ta}

Maliniewiczowa i Majkowski.

Maliniewiczowa.

Do czego to podobne?

Majkowski.

Cóż ja na to poradzę?

Maliniewiczowa.

Odjadę zaraz... Gdzieś Zosia?

Majkowski.
Pauzy.

Maliniewicza.
Jak ona mogła tu przyjechać.

Majkowski.
Sam hrabia ją zaprosił.

Maliniewicza.
To jest nieprzyzwoistość... pamiętam
dobrze, coś pan o niej opowiadał...

Majkowski (śmiechamy).
Ja? nic nie opowiadałem.

Maliniewicza.
Mówiłeś, że przywiózł ją Parkosz i że
jest aktorką.

Majkowski.
Upredzram panią, że jesteś w błędzie.
Nie przypominam sobie, żeby coś mówić.
Może mi się mimowoli wywrato.

Maliniewicza.

Hrabia Edward to w niej tak zakocha-
ny, że otru do niej odejść nie może.
Gotów jestże, broni Boże, ożenić się z nią;

Majkowski.

A niech się tam żeni, cóż nas to może
obchodzić?

Maliniewicza.

A Zosia? Coś pan narobił? coś pan
narobił? Parkosz konaty...

Majkowski.

Któż o tem mógł wiedzieć?

Maliniewicza.

Trzeba było wiedzieć, upredzić... Par-
kosz konaty, Horszki się żeni, hrabia za-
kochany... A ja? a moja Zosia? Coś
pan narobił!

Majkowski (n. 1.)

Potrzeba mi tego wszystko.

Maliniewicza.

A jeszcześ pan zapewnił, że mnie kochasz.

Majkowski.

Wiesz myślisz pani, że jeśli cię Kocham,
to wszelkimi siłami starać się będę
wydać cię za niego.

Maliniewiczowa.

Co teraz zrobić? co pora? ?

Majkowski.

Wyjdź pani za mnie... Masz trochę
groza, ja takie... Na Horszkiego ani na
Tarkovskę liczyć nie możesz, a od Zabor-
skiego nie jestem gotowy. Zobacysz pani,
że jak się weźmiemy za ręce, Los się wyda-
my za hrabiego Edwarda.

Maliniewiczowa.

Tak pan sądzi?

Majkowski.

Jestem tego pewny. Ja pani niedługo
u nas posiedzi, wyprawimy ją bezwzględnie

nie. Do hrabiątka weźmiemy się ostro,
nie umknie nam.

Maliniewiczowa.

Gdybyśmy mogli wydać Łofję za hrabięgo?

Majkowski.

Wydamy, wydamy! - bądź pani spokojna!
A my sami żyć sobie będziemy cicho,
szczęśliwie. Ale pod pantoflem trzymać
się nie dam - o tem nie ma co mówić nawet.

Maliniewiczowa.

A gospodynię swą oddalisz pan.

Majkowski.

Oddała! oddała! Dobrze, jeśli się porozu-
mieli nareszcie! Od trzech lat prositem,
błagam, a bytaś pani nie czuła... a tu jesz-
cze że dwa lata przejdzie i wszystko być
może za półno... Jodłowski oddawna swata
mnie już z jedną wdówką...

Maliniewiczowa.

Daj mi pan czas do nauystu.

Majkowski.

To co się tu namyslać, lepiej skoucać
doraru.

Maliniewiczowa.

Cóż mam zrobić?

Majkowski.

Zgodzić się.

Maliniewiczowa (wyciągając ręce.)

Ha! niech i tak będzie - catujcie pan.

Majkowski (catuje)

Sawuośmy byli powinni tak zrobić.

Maliniewiczowa.

Pamiętaj pan, że robię wielkie poświęce-
nie, ofiarę z mej strony.

Majkowski.

Przyjmuję ją chętnie.

Maliniewiczowa.

Porwól mi pan na siebie spojrzeć.

Majkowski.

Proszę - proszę!

Maliniewiczowa.

Teraz dopiero widzę, że jesteś pan przy-
stojniejszy od Zabłockiego.

Majkowski.

Jestem tego pewny.

Maliniewiczowa.

Ale nie to, co Hłowski...

Majkowski.

Jestem bardzo surowy i gwałtowny!

Maliniewiczowa.

To mnie bardzo cieszy... może przejdzie-
my się trochę po ogrodzie?

Majkowski.

Chętnie (podaje jej rękę.) Będzie bardzo
zadowolonym mężem.

Maliniewiczowa (kokietając go)

Doprawdy?...

Majkowski.
Lobaczysz!...

Maliniewicza.

Jeden warunek stawiam jeszcze:
kasa będzie w mojem ręku, a książki
rachunkowe ja będę prowadzić...

Majkowski.

Jakos' to zrobimy, a teraz pozwól mi
się pani ucatować...

Maliniewicza.

Jakiz pan niecierplivy?..

Majkowski (cztujac)

Niecierplivy! Ja na to trzy lata cze-
kaniem! trzy lata! (wychodząc)

Scena XIII^{ta}

Trena i Parkosz.

Parkosz.

Zaczekaj - niech odejdą.

Trena.

Czego chcesz odemnie? Co mająs kua-
rzyć te wyjaśnienia?

Parkosz.

Stuchaj, Irena, co ty wyprawiasz?

Irena.

Robię, co mi się podoba! Coś to pana
moje obchodzić?

Parkosz.

Poznać te rolawkowe frazesy... Wiesz
dobrze, że nie mam czasu na pustą,
czczą rozmowę...

Irena.

Idaje mi się, żeśmy skończyli nasze
rachunki, przynależna sobie część
otrzymates' z lichwiz.

Parkosz.

Przy naszym stosunku nie może być
mowy o jakimkolwiek rachunku.

Irena.

Przy naszym stosunku? Jakes' pan
powiedział: przy naszym stosunku?
Dost' już tego! Zrozumiałam wreszcie
ten pański stosunek względem mnie,
zrozumiałam, iż robisz to, do czego
niezdolna, czego robić nie powinna...

Parkosz.

Mówisz tak, jakbym cię oszukał,
nadurzył twego kauftania...

Irena.

Nie pan mnie oszukates', ale ja sama
się oszukałam... Pamiętaj, w jakich
okolicznościach spotkaliśmy się...
Byłam w długach, jak pajosk oplątany
w pajęczynę... Zjawites' się, kaptacites',
uprzedziwszy się przed tem, że będę miała
z czego wrócić... Byłam ci wdzięczna,
nie chciałam długo porostawać ci
długą, a według iś i możliwości chcia-

Tam ci pomagać... Aleś ty zbyt na
mnie liczył, robites' mnie swym narzę-
dziem. Twoja bezwzględność, która podobata
mi się w mowie, wydata mi się w czynie
podworna, wieludzka... Pouizatał moją
godność, brzydotał się sobą... Wreszcie
sprykrzytes' mi się już... zbyt przedko
states' się dla mnie pospolitym, czerzym,
zbrzydotał mi swoja opieką...

Parkosz.

Co zamietrasz poczoć?

Irena.

Zrucic' to jatmo z siebie.

Parkosz.

A potem?

Irena.

Potem? Alboż ja wiem? Nigdy nie
zaprzatata mnie myśl, co będzie potem.
Wiech się dzieje, co chce.

Partosz.

W perspektywie masz pani nędrę,
albo...

Irena.

Dosyć! przestań pan! nie prositam
cię, abys' mi prorokował przyszłość.

Partosz.

Licysz może na tego Horskiego. On
nie ma nic.

Irena.

Myliś się pan bardzo, jeśli sądzisz,
że na kogośkolwiek liczę... Żadne ra-
chuby nie wchodzi nigdy w zakres
moich planów, jest to pańska sfera.
Wiem tylko jedno, że nie będiesz już
moim kierownikiem i cię się się tego
niewymownie.

Partosz.

Stuchaj! ty jesteś w nim rakochłana!

Irena.

Być może?

Paskow.

Ktoby się tego spodziewał! Widsiatem u swych nóg nie takich ludzi, jak Horszki.

Irena.

Zdaje się, żeśmy się już rozmówili - może będzie pan Tarkow towarzyszyć mi do salonu...

Paskow.

Stuchaj... zaczynam się domyślać, teraz zrozumiałem... Jesteś kobieta sprytna, rozsądna, rbył ciężką skotę życia przesłaś, abyś mogła uczynić krok fałszywy... Rozumiem: tu nie Horszki, ale jest inny smaczniejszy kasek... Teraz rozumiem, dla czego przyjechałaś na ten bal wbrew wszelkiej etykiety... Liczysz na skandal, który

oddaje ci w ręce tego ródzodrioba, hrabiego. Przyrzaje, że świetny plan, aprobuję go najskrupetniej! Ale dla czego ignorujesz mnie? Czyż mogę ci być przeszkodą? Obawiam się widocznie, abym nie zarządał przymalunkiej mi części, ale daje ci słowo honoru, że hrabiego oddaje ci wyłączenie do swego rozporządzenia, rób z nim, co chcesz, ja do niego wstrzącać się nie będę. Muszę cię jednak uprzedzić, że bezemnie się nie obejdziesz, bo dopóki żyje babka...

Trena (śmiejąc się)

Ha, ha, ha! Oto jest ten pański spryt!
Ha, ha, ha! Szdrisz pan, że jestem istota tak prozaična; Trochę więcej poety! ha, ha, ha!...

Tarkosz

Nie śmiej się.

Irena.

Ha, ha, ha! Kto paui przecie beremuie
nie robiak! ha, ha, ha! Lacsates' dopie-
ro kaktadać sieci, a tu nagle... ha,
ha, ha!... Opowiadano mi o jednym
szewcu, któremu przed samą wielkanocą
niekta żona... Rozpaczał biedaczysko
ogromnie. Wiedziata też, mówi stra-
piony, kiedy uiekać! przed samymi świę-
tami! A któż będzie ciasto piec?...
Ha, ha, ha! To tak samo kmykam
panu w najpotrzebniejszej chwili...
ha, ha, ha!

Parosz.

Irena!

Irena.

Ha, ha, ha! Jakis' pan teraz smieszny!
Ty, co umiates' kawozie wszystkich wy-
prowadzić w pole... Ktoż teraz będzie

ci ciasto piec? Może mam zostać
czas jakiś, pomodrz ci przy pieczeniu?
ha, ha, ha!

Parkosz.

Śmiejesz się teraz, ale najlepiej się śmieje
ten, ~~któ~~ kto się śmieje ostatni.

Trena.

Także nie mam się śmiać, kiedy na-
wet nie spodziewałam się takiego re-
zultatu... To przed samymi przyjaciółmi?
Ha, ha, ha!

Parkosz.

Widzę, że mało mnie uważasz jęskocę,
jeżeli pozwalałaś sobie stroić żarty
ze mnie? Teraz ja z kolei powiem,
dosyć tego! bo inaczej...

Trena (wywiście)

Bo inaczej? Dokonasz pau...

Parkosz.

6 67
Zmuszę cię do miłczenia.

Irena.

A! Groźby! Jakże jesteś dwornym i ry-
cerski wobec kobiety! Czy dawno je-
steś amatorem koni, że stałeś się grań-
townym. Przy Horskim nie wsiadli-
byś się tak podnosić głosu...

Parkosz.

Ja Twego Horskiego...

Scena XIV^{ta}

Cis i Horski. (który wchodzi
na ostatnie tawa.)

Horski (do Parkosza)

No dalej! Kończ się! Coś tak
umilkł nagle?

Parkosz.

Jeszcze z panią pomówię! Porachu-
jemy się!

Horski.

Sądze, że będziesz pan musiał porachować się ze mną.

Partosz.

Z panem rozmawiać nie będę... Zrobi to sąd...

Horski (rzucając się na niego.)

A! Totre!

Trena.

Wstrzymaj się, Tuljanie! Jesteś bez rękawisek, później trudno będzie smyc płamy z rąk.

Horski.

Mass stusność... Ródrę panu nie pokazywać mi się na wesy... Tyszy pan... Możesz sobie, co chcesz, a teraz.
(wskazuje drzwi)

Partosz (klania się sztywno i wychodzi.)

Scena XV^{ta}

Korski i Trena.

Korski.

A gadzina! Jakie wdzięczny jestem pani, żeś mię w potęgę powstać rdośata...

Trena.

O i ja panu niemniej jestem wdzięczna...

Korski.

Zaco? Cóż on panu zrobił?

Trena.

Więcej stego nikt nie byłby w stanie zrobić... Boże mój! czemu ja się przez niego statam... Boję się pomyśleć, jaką hańbę sgotował mi ten człowiek. Przez niego gubitam nie tylko siebie, ale kassynatam gubić innych... To straszne! Teraz już wszystko skończone! teraz

czego innego pragnę! Zdaje mi się, że
miałam straszny sen, że wampir mnie
dusił - obudziłam się - to tyś mnie obudził
i dręki ci ra to... Może nie chciałeś
tego zrobić, a stało się to mimowolnie,
dotknąłeś tej naciąganej strony i
obudziłam się... Jakże się cieszę, że mo-
gę skończyć rachunki bez upokorzenia.

Florski.

Jesteś mi dłużną...

Irena.

Tak, ale po sprzedaniu majątku, odbie-
rę wszystko, nawet że kwacną prężytko,

Florski.

Wyjdiesz więc bez upokorzenia... Jak
to pięknie brzmi!.. A ja w tej chwili
gotów byłam dopuścić się jeszcze jednej
kbrodni... Teraz już tego nie zrobię.

Irena.

O csem mówisz?

Florski.

Tam, w salonie patrzyłem przed chwilą, na moją nasersoną, piękną i smutną karasem; myślałem sobie: „ona mnie uratuje! ona mnie uratuje!” A inny jakiś głos wewzstąpił i szeptad mi jednocześ-
nie do ucha: „a ja ja zgubię.” Wszelkimi siłami starałem się zagłuszyć ten drugi głos... „Ona mnie uratuje” – myślałem, a że zginię sama, cóż mnie to obchodzić może. Takie już jej przekonanie: ratować, ginąć.

Trena.

Dla czego sądzisz pan, że zginię? musi razem z tobą?

Florski.

Dla wielu bardzo względów, choćby dla tego, że nigdy nie będę jej kochał.

Trena.

Nie Kochasz jej?

Florski.

Mogę modlić się do niej, stawiać ją
na piedestale, uważać ją najpiękniejszą,
najświętszą istotę na świecie, ale Kochać
nie mogę... Ta czysta jest na to... A ja
czem posyskaniem jej miłości? Czy ona
mnie kocha? Kłamaniem, oszukiwaniem ją.
Przypuścimy, że jest tak dobrą i że mi
prebaeszy, poświęci się i odda mi się w
ofierze... będzie mnie Kochać... Zawsze
dłuszyć mnie będzie ta ofiara, jej skromna
miłość, to przeszedł, jakim mnie otoczy.
Cauje, że nie mogę tego zrobić, że „dla
bermyślnego przeszedł” nie mogę poświęcić
mego przeszedł... Ona kawały mój chłód
i kawały prędko, bo nie potrofię go
ukryć; racznie mi niknąć w oczach...

wspocznie się konanie... Będę cierpieć
i cierpieniami rabijać ja... Nie!
nie mogę tego zrobić!... Dla innych
wreszcie pryncypu nie mogę ożenić się
z nią...

Trena.

Dla jakich?

Florski.

Nie jestem w stanie zapomnieć już
o sobie!

Trena.

Aa!

Florski.

To, co cierpię teraz, nie mogę wy-
owiedzieć Tawani. Nie wiem, czy to jest
miłość, namiętność, szaf chwilowy, ale
wiem tylko, że jesteś bliska memu ser-
cu, tak bliska, jak nie była dotąd
żadna kobieta... Pomiędzy nami jest

coś wspólnego, pokrewnego, samas' mi
to powiedziała!.. O sobie tylko myślę:
Każdej chwili chcę być razem z tobą,
mówić, patrzeć w twoje oczy... Kto wie,
możeby doto się jeszcze stłumić, zwinie-
czyć to uczucie. Jest ono młode, tak
świeże! Tak młode ^{druwo} doto by się może
wytrwać z korzeniem... Lecz po co je wy-
rywać, niech rośnie tam, w mem sercu,
a może z czasem wyda dobre owoce...
Pokochoś mnie, czy nie pokochoś-
dziś nad tem się nie zastanawiam i
zastanawiać nie myślę. Dziś wystar-
cza mi repetition, że cię widzę... Boję
się, chociaż niewysłowioną radość mi spra-
wia rozziarkanie tego uczucia... Niechaj
mnie ogarnia całego i pochłonie...
I tak muszę zginąć, więc lepiej zgi-
nąć wśród tego strasznego a karamem

Tak prostego ognia... Nie gniewaj się na mnie Treno, nie mówię wszystko tak otwarcie, ale mówię, co myślę, co czuję...

Trena.

Nie myślę gniewać się na Ciebie, Juljanie. Przeciwnie, Twoja prostota, szczerość otworzyła mi oczy. Ja też otwarcie ci powiem, że nie pomyliłeś się: pomiędzy nami jest wiele wspólnego i pokrewnego, tak wiele, że wszystko, co ty czujesz, odczuwam i ja. Tak ty, nie chęć wyrwać tego drzewa z korzeniem: niech rośnie.

Storski.

Treno!

Trena.

Wzrywajmy to drzewo własnym mi imieniem - ja takie cię kocham.

Storski.

O najdroższa!

Trena.

Tyleżmy w życiu doznali bólów i rozczarowań, że kiedy spadnie na nas jakieś nieszczęście, zawsze przyjmujemy je cicho, spokojnie - z uśmiechem błogiego sądownictwa na ustach.

Kłowski. (obejmując ją w pód)

Treno! Łdaje mi się, że jakaś nerwa nuta oderwata się w mej duszy, że jakiś nowy promień światła ją oświecił...
Męczarnie życia, wszystkie biedy i cierpienia tak wywaricie stanęły mi w oczach!
Kiedy Ty skratem cię mowiąca, zrozumiałem że w przyszłości nas czeka nowe życie.
Będziemy mogli jeszcze kmyć hańbiące nas pieta... Treno! gdybyś ty wiedziała, jak ja ci pragnę powiedzieć, że na wieki naleśymy do siebie, że nic nas roztącej

nie jest w stanie, że nigdy się nie rosta-
cymy...

Trena.

Wierzę ci!...

Horski.

A więc przez te wszystkie zwątpie-
niami! przez tę maskę obtudy! Tak
dzieci wiemy i Kochajmy! Zaufaj mi,
Trenu, jak ja w tej chwili ufam w mi-
łość naszą, która będzie dla nas zbawie-
niem i odkupieniem!

Trena.

O mój najdroższy! Kocham cię! Kocham
i wierzę! (Uścisk - wbiega Wandria.)

Scena XVI^{ta}

Ciz i Wandria, później Helena.

Wandria (Schodzi z tarasu na
ostatnie stowa.) (Opiera się zemdłona

Ach! o taras.)

Trena.

Co to?

Horski.

A Wandria?

Helena (wbiega.)

Wandriu! Co ci się stało?

Horski.

Co jej się stało? Biegnę po wodę.

Wandria (otwierając oczy.)

Nie trzeba... to karam przedzie... Tak kręciło mi się w głowie... Nie umiem tańczyć walca... (wybucha płaszem.)

Gasłona spada.

Koniec aktu trzeciego.

Akt crewarty.

Gabinet Horszkiego.

Scena I^{sta}

Horszki sam, później Jan.

Horszki (siedzi przy biurku.)

„Ranne projekty zmierzich gubi noc,

„A projekt stary znów gubi nowy.

(czyta) „Błędy nasze przesładują nas,
jak cień, przez całe życie... Z rana
tworzymy projekty, a wieczorem robimy
głupstwa... (wstaje i chodzi po pokoju.)

Ha! wszystko na świecie jest głupstwem.

(wchodzi Jan.)

Jan.

Pan Todtowski.

Horszki.

Pocóż to meldowanie? Prosić.

(Jan odchodzi)

Horszki.

A głupstwa robią przez dzień cały!

Ra! przez życie nawet...

Scena II^{ga}

Korski i Jodłowski.

Korski.

Jak się masz, Karim! Dziękuję ci, żeś
rajechał...

Jodłowski.

Wstąpiłem tylko na chwilę - przejazdem.

Korski.

Napijesz się wódki?

Jodłowski.

Nie mam chęci... Ja tu z matym i
reszkiem, zostates' mi trochę winien,
chciałem cię prosić...

Korski.

Pamiętam, pamiętam... Tę tam zostato.

Jodłowski.

Trzysta pięćdziesiąt rubli.

Korski.

Na nieszczęście, gotówki nie mam teraz
w domu ani grosza.

Jodłowski.

Alm... co by zrobić?... Najlepiej będzie wysta-
wić weksel...

Horski.

Weksel... Dobrze! chętnie ci napiszę, ale
nie mam już blankietu... Muszę na zwy-
czajnym papierze zrobić kwit!

Jodłowski (wyjmując blankiet)

Ta mam blankiet! Przy tylu interesach,
co ja prowadzę, muszę mieć zawsze blankie-
ty pod ręką.

Horski.

Wybornie! Jesteś bardzo przewidujący, i to
ci się chwali... Dajże, zaraz ci napiszę.

Jodłowski.

Formę znak...

Horski.

Znam! znam! Nie raz już przecie pisało.
„Trzysta pięćdziesiąt rubli... gotowizna,
otrzymatem.” (wstaje) Dobrze tak? (oddaje
weksel.)

Jodłowski.

Bardro dobre! (chowa weksel.) Bardro
dobre! Cóżem chciał powiedzieć... no,
bądź zdrow, mój drogi...

Skorski.

Odjeżdżasz już?

Jodłowski.

Muszę... mam przed południem jeszcze
kilka interesów do załatwienia.

Skorski.

Nie śmiejem zatrzymywać...

Jodłowski.

Wybacz, innym razem stawić ci będę...

(wychodzi.)

Scena III^{cia}

Horski, poimieij Jan.

Horski (chodząc po pokoju)

"A głupstwa robię przez dzieć cały."

(wchodzi Jan) Czego ?

Jan.

Ja proszę pana chciałbym jechać...

Horski.

Dokąd ?

Jan.

Do Warszawy z powrotem, chciałem
tedy pana prosić o rachunek.

Horski.

Rachunek będzie katalwiony ! Kiedy
jedziesz ? Chcesz zaraz pieniądzy ?

Jan.

Jeżeli można to zaraz.

Horski.

W tej chwili nie mogę ci zapłacić, bo nie

mam w domu pieniądze... Pośpiesz do
jutra...

Jan.

Do jutra to mogę, ale dłużej czekać nie
mogli... Żeby tylko jutro pieniądze były...

Horski.

Odbierasz wszystko z pewnością.

Jan.

Przebiega bardzo... Tak mi przykro odje-
żdżać...

Horski.

Masz spryt w głowie!... Widzisz, że jak
z domu przed pożarem uciekają wszyst-
kie myszy i szczury, tak mnie wyrzwa-
ją się wszystko z rąk...

Jan.

Co ja szczur? Zgodziłem się do pana, bo
myślałem, że będzie strasza, jak wędzicie,
a tu teraz dopiero widzę...

Horski.

Josyc! jutro otrzymasz raptatę...

Jan.

Zapłata - raptatę, ale jak pan imie
narzywać mnie rzeczem?

Horski.

Wynos się!

Jan.

Czekać będę tylko do jutra...

Horski (gwaltownie)

Jan!

Jan.

No idę już! idę! (wychodzi)

Scena IV^{ta}

Horski (sam)

A! Jakie upokorzenie!... Wszystko pu-
stnieje, ucieka, jak przed karą, w sercu
tak czarno, pusto... (zbliza się do okna) Jaka
ciężka chmura tworzy się w powietrzu...

(odchodzi od okna) „A głupstwa robisz
przez drzwi cady... Czy warto tak żyć bez
celu... bez wiary w przyszłość... (walewa
sobie wodę z karaftki.) Takie mi gorzko
w gardle... I gdzie przyczyna tego wszyst-
kiego? gdzie?... (Wchodzi Wandria)

Scena V^{ta}

Horski i Wanda.

Horski.

To ty Wandria?

Wanda.

Odnoszę panu gazetę, ojciec już je prze-
czytał.

Horski.

Jakże zdrowie pana Ludwika?

Wanda.

Lepiej. Doktor zapewnia, że za kilka
dni będzie zdrow... Teraz właśnie usnął
Arochę...

Horski.

To bardzo dobre, sen rawsze poknepia
chorego.

Wanda.

Ja przystam... chciałam panu powiedzieć...

Florski.

Usiądź się, moja Wandziu.

Wanda.

Ja tylko na chwilkę... Ojciec mi mówił,
że sprawia panu ^{teraz} kłopot oddanie nam
pieniędzy... ponieważ ksiądz mówił mi jedno-
cześnie, że pieniądze te są moje, więc
przystam panu powiedzieć, że niepotrzebne
są nam teraz...

Florski.

Nie rozumiem cię... niepotrzebne?

Wanda.

Nie kłopot się pan... nie oddawaj teraz,
poczekamy chętnie...

Florski.

Zaklinam cię, Wandriu, nie mów mi tego,
jestem wam dłużny pewną sumę i oddam
razem po sprzedaniu majątku... Postawo-
wienie moje jest nielubne.

Wanda.

Zapewniau pana, że nam teraz pienią-
dze niepotrzebne, bo i na co?

Horski.

Te pieniądze są twoim posagiem, Wandriu.

Wanda.

Cóż mi po posagu? Za mąż nigdy nie
pójdę.

Horski.

Jestes' tak młoda... tyle spodziewać się już
cse możesz od świata... Walicki rapo-
wui ci szczęście...

Wanda.

Odmówitam Walickiemu, nie pójdę za
niego, ani za nikogo.

Storški.

Tęgo matšćen'skwa rycsy sobie twój ojciec.

Wanda.

Sawniej chciãł tego, ale powiedriatam
mu, że nie i nie namawia mnie więcej.
Nie mogę być żoną estowicka, którego
nie Kocham.

Storški.

Skoro poznasz go bliżej, pokochasz...

Wandzia.

Nie, panie Juljanie, nigdy i nikogo nie
pokocham już... Ale na Boga nie myśl,
nie myśl pan, że gniewam się na ciebie..
że cię oskarżam... czyś ja mogłam li-
czyć na twoją miłość... Ja też nigdy
o niej nie myślałam. Wiedriatam, odraru
prosuniatam, że nie jestem przesnaczo-
na dla pana, nie mogę być twą żoną..
Na rawse zachowam dobre wspomnie-

nie o panu... zawsze modlić się będzie,
aby był szczęśliwy... Nie myśl, abym...
Jeśli przystanę wówczas, to dziś jeszcze
nie wiem, jak się to stało... Pauli Łaska
mówiła, a ja czy mogłam się wypierać?

Alorski.

Zapomnij o mnie, Waudriu! Jam wy-
stępny i nie godziem twoj pamięci, ani
twoj modlitwy. Jeśli masz choć odrobinę
współczucia dla mnie, to błagam cię o jedno:
przebac mi!... przebac mi, że tak nie-
miłosiernie zniweczyłem twoje marzenia,
przebac, że wlałem do twoj jasnej, pogodnej
duszy tyle gorzkości. - Nikczemne re-
mnie stworzenie! Nie wart jestem
nieczyjej litości i prosić o nią, nie
będę... Ale twoje ręce drzewce ser-
ce... niech ono choć mi wybaczy...

Wanda.

Panie Juljanie! ja nigdy nie czynitam
ci wyrzutów.

Słowski.

Ułituj się nademną, Wandriu! Tróć
mi tę wielką taszkę i wyjdź za Walic-
kiego... Wtedy będę przynajmniej pe-
wny, że chociaż kadatem wielki cios
tęemu pierwotnemu uczuciu, ale nie
stanem twego życia...

Wanda (słochając.)

Czemu nie chcesz mieć pan kromu-
mieć... Dla czego mi to mówisz?...
Nie mogę, nie chcę zapomnieć o sobie...
Nie będę nikogo kochać... Miej litość
nademną... Ja nie cierpię... A gdybym
cierpiała - to cierpienia te z radością
znosić będę - one mi tylko dris' kosztują.
Nie... nie mów nie... nie kochaj
mnie... ja nie chcę tego... ale ja za

pana ... kawrze ... cato życie ... będę się
modlić!... (wybiega.)

Scena VI^{ta}

Alorski (sam.)

Alorski (stoi długo, chwytając się
rekomą za głowę.)

Do czego ja doszedł? Czyż nie
mam już serca w piersi! Czy wszystkie
krytyczne, wniostę uczucia mają poro-
stać dla mnie na kawrze ciemnej, nie-
rozumiałą zagadką... I jak tu żyć?...
Na co? Dla kogo? W sercu pustka.
Ach Boże mój! Boże! (wchodzi Irena.)

Scena VII^{ma}

Alorski, Irena.

Irena.

Nie rozpaczaj Juljanie! Nie upadaj
na duchu! Jestem przy tobie! Co
zamyślasz zrobić?

Horski.

Czyż mogę żyć dłużej na świecie?

Irena.

Skaleńcze! co chcesz zrobić?

Horski.

Po co mi życie!

Irena.

Po co? Więc mnie już nie Kochasz?

Milesysz? Przeszłość mnie Kocha?

Nie Kochasz?... powiedz. Nie oszuki-

wates' mnie dawniej, mówiąc, że mnie

Kochasz... Tak prędko miałbyś wyrec-

zić się tej miłości?... Nie rozumiem cię zupełnie.

Przemówiś choć słówko, odzwij się...

Horski.

Nie widziś, że pomiędzy nami stoi

szkielet, starganego, wzgardzonego uczu-

cia? A ty czyż mnie Kochasz? Czy po-

siadasz choć cząstkę tego, czem ludzie

kochają. Pomyśl tylko, czy nie oszukasz siebie, czy nie oszukujemy się wzajemnie... No, powiedz, czemu możemy kochać, kiedy brak nam serca. To gdzieś jest to święte, wnioste uczucie. Myśmy je roztworzili, rozproszyli w wirach codziennego życia.

Trena.

Nie - ja ciebie Kocham.

Horski.

Jesteś szczęśliwszą odemnie... Ja, Trena przepadam mej szerokości, chciałbym pokochać choć trochę siebie... i innych. świat cały, ale nie mogę... nie mam czasu... Cierpię... cierpię niewymownie. Dopiero co widziałem dziewczynę... ona sama jest miłością, uosobieniem najwznioślejszego, najczystszej mędrucia... Przyjta mi powiedzieć, że wszystko, się

bie nawet, gotowa jest mi przynieść
 ofierze, a ja prositem ją, aby rdeptała,
 aby stłumiła w sobie ten święty ogień,
 to sztywne postawienie... Mówiła do
 mnie, a ja nie rozumiatem jej, gdyż brak
 mi zdolności pojmovania - brak mi serca.
 Rozumiem mowę, gdyż sam ja, posiadam,
 ale uczucia nie rozumiem, bo jest mi
 obojętne... Treno! ja ciebie nie Kocham...
 nikogo nie Kocham, a sobą... sobą po-
 gardzam.

Trena.

Nie wierzę ci... Ocknij się... bądź esto-
 wickim. Na świecie jest wiele pięknych,
 wzruszających dzieł, dostępnych dla każdego.

Morski.

Напрыклад?

Trena.

Напрыклад праца.

Horski.

Czyż my możemy pracować?

Trena.

Zmusimy się.

Horski.

Mówiłaś wczoraj, że nie jesteśmy w stanie tego zrobić... Czyż my, ludzie, mamy swą wolę?

Trena.

Zmuszą nas inni... Potrzeba nas zmusi.

Horski.

Potrzebę mamy już... udrę nawet... Do czegoż nas doprowadziła? Grepliśmy w błocie, straciliśmy godność ludzką, zdolni byliśmy na wszystko, byle tylko nie pracować... Ja jestem już straconym, nic mnie nie uratuje, chyba jedna tylko śmierć... Miłość dla mnie niedostępna od dawna już, kamień we mnie to uczu

7
 cie... Tam, gdzie panowanie swe rozpo-
 ściera występki, miłość istnieć nie
 może...

Irena

Tak niedawno jeszcze wierzyleś... ko-
 chales'...

Kłowski.

Mylilem się... Oszukiwałem siebie i
 ciebie zararem... Ty ptaszek, Ireno?
 Ptacz! ptacz! Jakże ciężko gniebać to,
 co jest najpiękniejszą ordożą człowieka.
 I ja bym ptakał, ale nie mam teraz...
 Trzy są w posiadaniu tylko ludki nocy-
 wych... Ja nie mam nic... nic... moje
 życie, to bier dla innych, a meka dla
 mnie... Moja śmierć, to zbawienie.

Irena.

Nie wierzę temu... Mam jeszcze nadzie-
 ję jakąś... Słuchaj, Juljanie!.. Słuchaj,

ja nie mogę wyprze się tej namiętności...

Horski.

Jakiej.

Irena.

Że na nowo się odrodziła... że różnie w
życiu jest... Czekajmy, a która się
kwitnąć w twoim sercu.

Horski.

Ale co wróci ich śmiech?

Irena.

Nie wiem, ale wiem. (wchodzi Łącki)

Scena VIII^{ma}

Ciri i Łącki.

Łącki.

Jak się masz, fulku! Witam panią! Może
przestraszylem.

Irena.

O nie!

Łącki.

Przyjechałem do ciebie unyślnie...
 Wybieratem się wprawdzie do miasteczka,
 lecz widzę, że burza nadchodzi, zląkłem
 się i odczyłem wyjazd do jutra... Ogromna
 burza nadciąga... Kto wie, czy to nie
 grad będzie... Nie o tem jednak chciałem
 mówić... wszak mogę mówić?

Storški.

Mów, wszak nie mam żadnych tajem-
 nic przed Treną.

Lacki.

Widzisz, mój drogi, chciałem cię uspokoić:
 nie rozpaczaj! pomożemy ci wybrnąć z
 kłopotów... Podriskuj mojej konie...
 to ona tak adwokatuje za tobą... Najz-
 tek ocalimy - nie będziesz potrzebował go
 sprzedawać... Obmyślimy z koną jeden
 plan, będzie można i drugi spróbować i ma-
 jątek uratować...

Plotzki.

Dziękuję ci serdecznie, ale klamka zapadła. Uczyniłem już postanowienie.

Lacki.

Takie?

Plotzki.

Postanowiłem sprzedać majątek i wyjechać.

Lacki.

Skąd? po co?

Plotzki.

Nie wiem! Gdzieś pesy poprowadzą.

Lacki.

Sam nie wiem, co mówisz.

Trena.

Dobrowolnie wyrzekasz się swego szczęścia.

Plotzki.

Czyż uratowanie majątku może mi zapewnić szczęście...

Łącki.

Własny kąt bardzo wiele znaczy...
 Własne domostwo, własne ognisko - to
 rzecz wielka... chroni człowieka od pokus.
 Przez to samo, iż go się strzeże, pilnuje, utry-
 muje w porządku, staje się mimowoli czło-
 wiek lepszym... przeciwnie, nie mając da-
 chu nad głową, życie staje się męczarnią.

Horski.

Przyznaje, że wiele ludzi mogło przez to
 zginać, być może, że i ja nawet... Ale
 kwestya już skończona.

Łącki.

Jakto skończona! Przecież nie zginałeś
 jeszcze?

Horski.

Czegoś potrzeba mi więcej... Los dał mi
 wszystko: zdrowie, pieniądze, rozum...
 dał mi możność rozporządzania samodzieln-

nie rzyciem - i co zrobitem z tem wszytkiem?
na co obrócitem me zdolności? co dobrego
zrobitem ludziom?

Łącki.

Jesteś młody - otugie przed sobą rzycie stoi
jeszcze otworem.

Horski.

Mam lat trzydzieści, a przedemną mrok,
mrok bez końca... W przyszłości to samo,
a poza mną chęć wyprawia! Spójrz tylko
mwarznie na siebie i na mnie: jesteśmy pra-
wie w jednych latach, a jakże między nami
różnica! Ja jestem jakaś ruina, starym
niemal, który doświadczył tysięcy cierpień,
bólów, dolegliwości, stamany nieszczęściami.
Ty zaś - pełen siły, zdrowia, energii - zachowaj
wtedy cały urok urok młodości, nie strach
nie ci radue cierpienia, lubisz rzycie,
jego powaby, wrz w sobie młoda krew, po-

izolacja pracy, czynu - jednym słowem w sobie
 spoczywa moc, cały świat nieraznanych
 namiętności, jasna, pogodna przyszłość.

Łacki.

Robisz ze mnie jakiegoś bohatera.

Storski.

O tak, jesteś bohaterem, bo zachowujesz
 doład wszystkie swe siły, zdolności, energie,
 nie rozproszyłeś ich na drobiazgi, bez
 żadnego pożytku dla siebie lub innych.
 Tęsi bym dał za to, gdybym mógł wrócić
 choć małą częśćkę tego moralnego kapi-
 tалу, który wyeksploatowałem tak lek-
 komyślnie.

Łacki.

Idaje mi się, mój drogi, że przesadkasz...
 Dalekim od tego wzoru, w jakim mnie wy-
 stawiasz, a i ty nie jesteś znów tak bliski
 bankructwa. Prawda, żeś już czas jakiś nad-
 wyczał życia, przepędziłeś czas, ale nie

jest to krowa taka zbrodnia, jak ci się
zdaje. Nie jesteś ostatecznie zgubionym
cstowickiem.

Horski.

Wszystko to exere słowa: Chciesz mi nie po-
cieszyć, ale to ci się nie uda. Ja sam najle-
piej rozumiem swój stan i nie myślę samy-
kać oścau. Tutaj czuję straszno pustkę:
wszystko tu zamarta, wszystko na zawrse.
Wszystko tu rozbite, stamane, unices-
twione, i ta pustka, ten straszny chłód,
który e niej więcej - ratruwają me istnie-
nie. Alboz ja żyję? czuję? odbieram ja-
kieś wrażenia? Jestem tylko godnym li-
kości manekinem, stworonym na podo-
bięstwo cstowicka, ale pozbawionym
wszystkiego, co go uszlachetnia, daje mu
prawo do życia rozumnego... I dla tego
wtasnie kardroskę ci i pytam nieraz

skąd bierze się w tobie ten kawał siły, ener-
gii, w csem cserpiesz otuchę do życia?

Łacki.

W csem? Albo to trudno odgadnąć: w mi-
łości i pracy. Weź się i ty do gry - ona
cię uratuje.

Horski.

Oryj mam na to dość siły? Dziw' rapó-
kno.

Łacki.

Cóż więc poczniesz?

Horski.

Będę płynąć z prądem, dopóki...

Łacki.

Dopóki...

Horski.

Dopóki prąd nie ustanie.

Łacki.

Z czego będziesz żyć?

Horski.

Nie wiem - racjonalnie z tego, co i dawniej.

Scena IX²

Ciz i Majkowski.

Majkowski.

Witam panów! Jak się maś, Julku!
Przyjechałem do ciebie z ważnym inte-
resem.

Horski.

Jesze? Jakiz to interes?

Majkowski.

Widzisz, mój drogi, jest to sekret, wielki
sekret...

Horski.

Nie możesz mówić przy wszystkich..

Majkowski.

Wybaccie państwu... tylko na chwileczkę.

Scena (do Łackiego)

Pójdźmy razem.

Horzki.

Cóż to za tajemnica?

Majkowski.

Tylko na chwileczkę.

(Irena i Łaska wychodzą.)

Scena X^{ta}

(Majkowski i Horzki.)

Horzki.

Więc mów naradzić, jaki interes cię
sprowadza?

Majkowski.

Jaki interes?! Wiesz ty, od kogo wracam?

Horzki.

Nie wiem.

Majkowski.

Od parkosza, mój bracie! od parkosza!

Posłóciemu się z nim i to o ciebie.

Horzki.

O mnie?

Majkowski.

Tak o ciebie! Takie głupstwa na ciebie
wygadynaś, aż strach!... powiedziałem mu
odwarcie, że nigdy temu nie uwierzę. powie-
dziatem - słowo honoru daję.

Korski.

Coż on mógł o mnie mówić?

Majkowski.

Mówił, że ma mnóstwo trzech weksli...
że jeden z nich - jakby to powiedzieć -
ma być fałszywy...

Korski.

A!...

Majkowski.

To jest, że podpis na nim podrobiony i że
ty sam go podrobites? rozumiesz? Jak
on mógł opowiadać coś podobnego!...
Ja też mu odrazu w oczy: „Ktamięz pan!
to być nie może! Nigdy nie uwierzę, aby

Juljan to mógł zrobić... Inam Horskiego
dobrze, jest dziwak, ekscentryk, ale szachra-
jem, tatem nie był nigdy i nie będzie.

Horski.

Dosyć...

Majkowski.

Poczekaj!... Ja mówię: „choćby nawet
tak było i zrobił coś podobnego, toś pan
nie powinien o tem mówić, a zachować
w tajemnicy. Taki wypadek rdanyć się
może kaidemiu.” Ale znów robić z tego
kwestye, składać weksel w sądzie - to nie
poszlachecku...

Horski.

Wiesz on...

Majkowski.

Złotyś podobno ten weksel w sądzie...
Siebie pan chajbisz - powiedziać em. Jak
się wyda, że to potwar, nie rządzic ci to bez-

karwie... Co do mnie, nigdy nie uwierzę;
aby Julian mógł coś podobnego zrobić"...
I doład nie wiem;...

Horski.

Wszystko stracone! wszystko stracone!

Majkowski.

Co stracone! więc to prawda? A! Nieszczę-
ście prawdziwe! Ale nie rozpaczaj, poradzi
się coś. Nie przyznawaj się do niczego, a
może ci się uda jakoś wypłacić... Weźmie-
my dobrego adwokata...

Horski.

Błazen!

Majkowski.

Kto?

Horski.

Ty!

Majkowski.

Co to jest! Nie dość, że daję ci dobrą radę,

a ty jeszcze wymyślać miś biedien.

Horski.

Dobra rada! Przykryć jedno szelmostwo drugim? Widocznie, że miś uwariass sa ostatniego szachraja.

Majkowski.

Jeśli weksel okaże się fałszywym?

Horski.

Okaże się fałszywym, bo go podrobitem, ale nie takim, jak ty lub Parkoss narzwać miś szachrajem. Styrzys!

Majkowski.

Z punktu prawnego...

Horski.

O tak - wy jesteście ludzie szlachetni, racni, a ja głupi, lekkomyślny młodzik, skoro po pijanem, za dyktandem takiego Parkosa, odwasiłem się połowić cudzy podpis na wekslu.

Majkowski.

Treba być ostrożnym i po pijanemu nie
rapominać o ucieczce...

Horski.

Miles! - Ty śmiesz mi o tem mówić?

Majkowski.

Dla czegoż by nie? Ja, chwala Bogu! we-
ksli nie podrabiatem.

Horski (rucając się na niego.)

A tożre!

Scena XI^{ta}

Ciz, Trena, Łacki.

Trena.

Co się tu dzieje?

Majkowski.

Pan Horski porwała sobie kanadło...
Obraża mnie w swym własnym domu,
nie mając do tego żadnego powodu.

Prez!
Horski.

Majkowski.

Ja się obrażać nie dam... powiem prawdę wszystkim. Majkowski zawsze prawdę w oczy rąbie: ludki uściewych powinni go skanować!

Florski.

Jeszcze słówko, a rąbiję jak psa!

Majkowski.

Przejechałbyś się za to kawałek drogi!
Zresztą dla ciebie wszystko jedno - i tak pojedziesz.

Florski.

Josefie! powiedz mu, aby odszedł.

Łucki.

Panie Majkowski - racz nas opuścić.

Majkowski.

Niesz on mi pierw dług odda.

Trena.

Pieniądze odbierasz pan jutro, ale teraz

Majkowski.

Dobrze! ale co panią upoważnia do władze-
nia w tym domu? kto pani jesteś, abys' mo-
gła tu wadzić? Nie, Dziśki Bogu, jeszcze
tak nisko nie upadłem, abym nad sobą po-
zwolił przewodzić jakiegś tam...

Storski (rzucając się)

Ja ciebie setkę w proch...

Łacki.

Julianie! powstrzymaj się!

Majkowski (w drzwiach.)

To takie nie ujdzie ci płasem i za to mi
odpowiesz... Wstyd mię dziś tylko, że z ta-
kim panem przedstawiałem. Tfu! Lajdak!

(wychodzi.)

Storski.

Puszczajcie mnie!

Scena XII^{ta}

Ciż bez Majkowskiego.

Horski (gwaltownie.)

Puszczajcie mnie!

Lacki

Nie, Julianie, ja cię nie puszczę. Siadź -
uspokój się... (do Trena) wody.

Horski (rzucając się na kniesto.)

Boże mój! Boże!

Trena (podaje wodę.)

Uspokój się:

Horski.

Czego wy tutaj chcecie... Idźcie przez
odeminie... Tu nie miejsce dla uciążliwych
ludzi... Idźcie, zostawcie mnie samego...

Trena.

Kapnij się wody trochę... (Horski pije.)

Horski.

Do czego ja doszedłem! do jakiego upodlenia!
w jakim błocie ugrzartem! a!

Lacki.

Nie rozumiem się...

Horski.

Jestem kłodnianinem, kłodzikiem! Oskiwatem
was, a wy przyszliście mnie, nie wiedząc ko-
go przyjmujecie...

Trena.

Nie mów tego - tyś'...

Horski.

Tak, jestem kłodnianinem, fabrycznikiem, po-
drabratem wksle.

Trena.

Coo ?

Horski.

Mówię prawdę... Wy tu jesteście jesteście
dla czego nie uciekacie odemnie? dla
czego mi nie rzucicie w twarz obelg?
(ze trami) Tyś' mówisz, że nie kłują, że
nie jestem stracony... Czegoś mi więcej
potrzeba? Awi dobrego nazwiska, opinii

sumienia, godności własnej! A ty mówisz,
że nie jestem stracony!

Łącki.

Ja doład nie rozumiem, o co idzie...

Trena.

Posłuchaj pan, ja odgadłam wszystko...
Mówił mi o tem Parkosz... Julian kiedyś,
będąc nieprzytomnym, a potrzebując pie-
niędzy, za namową Parkosza, czy kwi-
goś z jego przyjaciół, podpisał fałszywy
wекsel... Parkosz weкsel ten schował,
a teraz pragnie reuńsky... Ma on dużo
takich weкseli i to różnych osób... Powia-
da zwykle o nich, że to są tańcuszki, na
których prowadzi swe piestki.

Łącki.

Żubrawiec!

Trena.

Julian stał się jego ofiarą, ale jak ja

mogłam zapomniać... Powiedz pan, jaka
odpowiedzialność czeka go za to?

Łacki.

Nie wiem, to kalesień będzie od prepro-
wadzenia sprawy... Może się kłó bardzo skoń-
czyć, jest możliwe restauie...

Florski.

Restauie! Niech i tak będzie, niech mnie
śesła gdzieś daleko... ja'm gotów... zastę-
tom na nie... Coż mi porostaje na iwie-
cie? nie... Nie będę się tłumaczył, żad-
nych uwzględnień nie chcę... Sam prosić
będę, aby mnie restauo, a tym tylko sposo-
bem dokupię moje nikczemne i występne
rycie...

Łacki.

Przedwczesnie bytoby rozpasać! wszystko
skończyć się ~~moje~~ jeszcze moje pomysłuie!

Florski.

Slowski.

Nie chcę... po co? Aby znosić wlec swój
 marny, godny politowania rynek, płynąć
 po świecie bez steru i wiosła? gubić siebie
 i innych! Nie! nie! Szadatem mocy i ener-
 gii dla siebie i o to odczwata się ona we mnie!
 Teraz albo nigdy kmiardzi, kiskesy,
 albo odrodzi zupełnie i ucsyni godnym
 innego życia. Nawet życie rozpocząć
 można wtedy, gdy się dokupi stare grzechy.
 I dla tego proszę o możliwość okupienia
 ich!.. Tak żyć dłużej nie mogę, nie
 chcę... nie powinienem dłużej tak żyć...
 Zegnajcie mi narawsse! życie resz-
 lliwi! może powrócę kiedyś do was, ale
 już innym, odrodzonym... Zegnau się;
 Trenu! Bądź resziliwą, a los mój
 niech będzie dla ciebie przykładem.

Trena.

Посекай! Мовись - породzenie! Мовись,
że треба okupić stare greschy... a czyś ja
nie potrzebuje okupić ich? Czyś nie je-
stem również występna, i bardziej nawet!
Kiedy przypominę sobie mą przeszłość, strach
mnie ogarnia... Tyś potoczyś fałszywy pod-
pis na wekslu, a kto temu winien? Tylko
ja jedna... Kiedy wspomnę, jakie ogrom-
ne sumy pieniędzy tracono dla rozproko-
żenia mych kaprysów; ilu ludzi straci-
ło cały majątek dla tego tylko, aby rape-
wnić mi jakąś przesłotną rozrywkę lub ra-
dowołenie - wtedy dopiero widzę, jak jestem
występna... Być może, że nie jednego
starego człowieka, pozbawionego woli,
skierowałam sama na śliską drogę wy-
stępku... A czyż nie wiedziałam, co
czynię... Wiedziałam, że gubię ludzi,
sumienie nieraz mi to wytknęło,

ale ranykatam oczy, nie chciałam
 słuchać głosu sumienia... Jeżeli nie
 ciebie, to innych zgubiłam... TONI
 byli ludźmi: wina moja wielka!
 Prawo nie karze jej, ale Bóg widzi...
 I moje sumienie również domaga
 się odkupienia... Dokąd mam iść
 teraz? jak odkupić me winy?... Czy
 znówu tutaj, gdzie nie ma ani su-
 mienia ani Boga? Nie! nie! Julia-
 nie, ja pójdę tam, dokąd ty pojedziesz!
 nie odtrącaj mnie od siebie!...
Florski.

Treno!

Trena.

Pozwól mi razem z tobą pokutować,
 pozwól i mnie odkupić moje winy!...

Florski.

Pomyśl, co cię czeka ze mną...

Trena.

Jeszcze nie to, co ciebie, a przecież jam
bardziej od ciebie występna... Nie
odtrącaj mnie od siebie... Pragnę tam
twoj miłości, chociaż nie byłam go-
dną, nicszyjej miłości... Daj mi teraz
sposobność, pozwól rozstusyc na mnie
przez długą i ciężką próbę... Nie chcę
twoj miłości, ale nie odtrącaj mnie
od siebie...

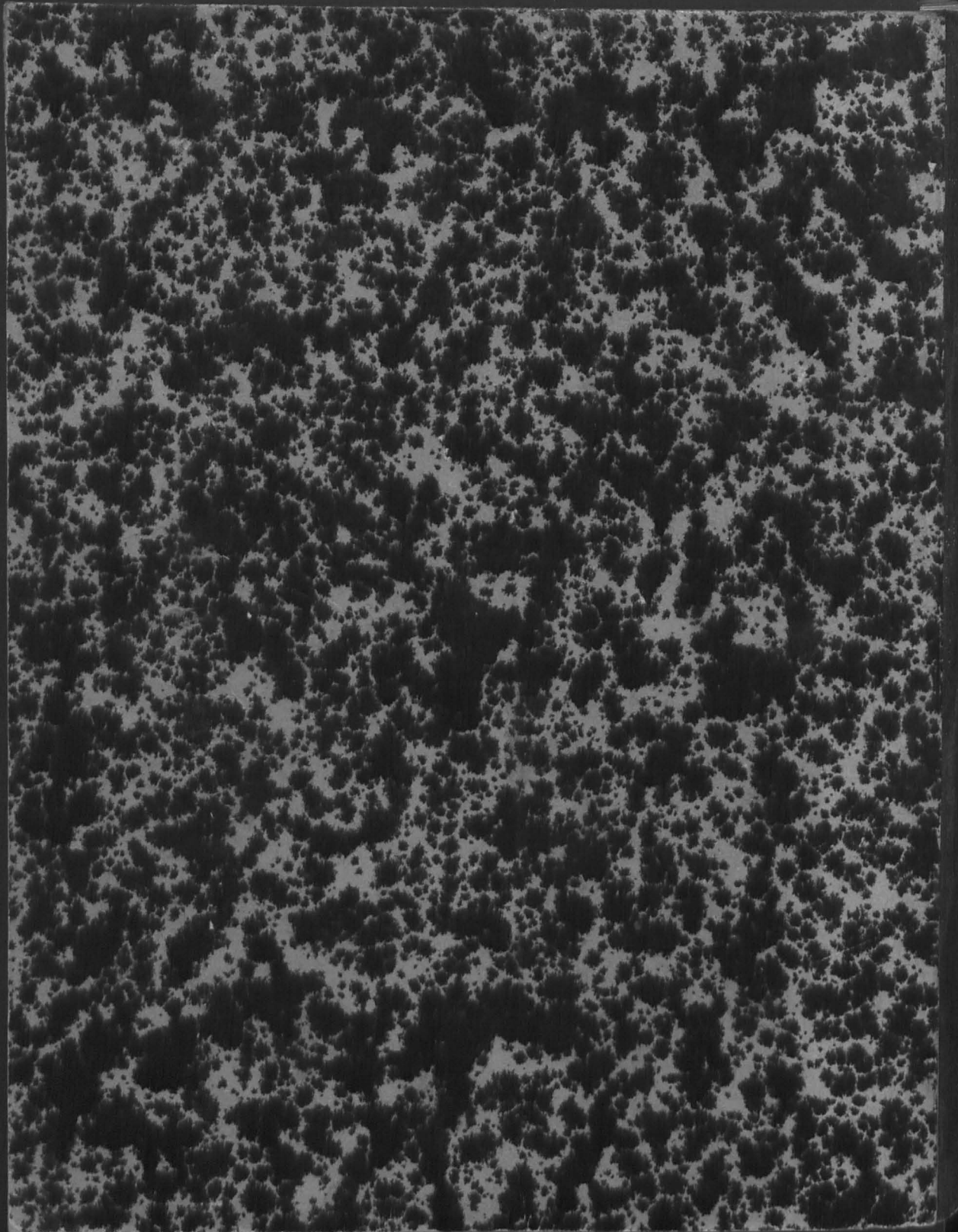
Florski.

Mass stusznosc, Treno! Oboje jeste-
my występni... Lecz Bóg miłosierny...
Daj mi twoz rzke... Z poddaniem się
z uległoscia spotkamy gorzacy nam
butę... A tam, tam, za temi chmurami
świeci Twiśce i może kiedyś, kiedyś
będziemy jeszcze godni spojreci na nie...

Lastona spada

Koniec.





Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.